

ZBIÓR POWIEŚCI

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, rzeźrzone, poprawione i uporządkowane przez Autora.

Ogólnego zbioru tom dwunasty.

THE HISTORY OF THE
CITY OF BOSTON
FROM THE FIRST SETTLEMENT
TO THE PRESENT TIME
IN TWO VOLUMES.
BY NATHANIEL BENTLEY.
PUBLISHED BY J. B. BENTLEY, 10 NASSAU ST.
NEW-YORK.

STARY SŁUGA

POWIEŚĆ

J. I. Kraszewskiego.

Wydanie nowe, przejrzone i poprawione przez Autora.

TOM II.

LWÓW.

W księgarni Gubrynowicza i Schmidta
przy placu św. Ducha l. 43.

1872.

—
WARSZAWA.

W księgarni Michała Glücksberga.



Nakładem Rogosza, Pillera i Gubrynowicza & Schmidta.
Drukiem Kornela Pillera.

VI.

Domek poety.

Nie wiem czy jest kto biedniejszy nad dzierżawcę, jeśli, co się jednak nie często przytrafia, ma on uczucia i zaprzęta się cokolwiek tem, co go otacza; gdyż popolicie dzierżawca ze stanu swego ani patrzeć, ani czuć nie powinien, tylko rachować.

Wzorowy dzierżawca robi grosz, a o resztę nie stoi; ale i między nimi są ludzie obdarzeni smakiem i uczuciem (choć rzadko), są co żyjąc z pracy, chleb swój powszedni gorzki i ości pełen, smarują odrobiną poezji.

Takim właśnie anormalnym dzierżawcą był Bolesław Wilczek, któremu też pan Bóg nadarzył i kątek wcale dla niego stosowny.

Nie wiem czy sam sobie budując, byłby pożałował milszego domku i spokojniejszego a wdzięczniejszego ustronia.

Nie wyobrażajcie sobie, kochani czytelnicy, z urywków, które mogliście postrzedz po nad drogą pocztową, że całe Polesie składa się z tego piasku, sośninki, kałuż błotnistych i trząskich grobel, które was tak znudzić

musiały, jak i mnie znudziły nieraz; wyjąwszy ramy siwych lasów wszędzie jednakie, Polesie jest pełnem rozmaitości i bardzo niekiedy wdzięcznym kątkiem.

Prawda, że bywa też i szkaradnie brzydkie. Ma ono swe wielkie rzeki: Styr, Płucz, Horyń, Prypeć, które je ożywiają pięknymi często brzegami; ma wzgórze, a bujna i wiekuista zieloność drzew jego zdobi nawet najmniej ponętne położenia. Któż nie kocha lasów? ktoby drzew nie lubił? a czegoż one nie ubiorą i nie uwdzięczą?

Wieś, którą trzymał dzierżawą Bolesław Wilczek, zwała się Kluki; leżała właśnie nad brzegiem Styru, wśród przetrzebionych już ale pięknych jeszcze borów sosnowych i dębowych lasów. Sama osada ciągnęła się nieco opodal od rzeki na wzgórzu, oddzielona od koryta Styrowego zieloną rozległą łąką; o kilka staj od niej był dwór, na podniosłości zbudowany nad samą wodą, otoczony jeszcze lasem, który nie wiem jaki traf szczęśliwy, czy upodobanie oszczędziło.

Wysokie sosny z wiehcami zielonemi na skroniach, podszyte gęstą leszczyną, kilka przestarych ogromnych dębów, i dołem olchy, opasywały z jednej strony zabudowania dworskie, odkryte z drugiego boku od wioski, która przeglądała przez krzewy ze swą szarą cerkiewką i domostwami, w rząd wysadzonemi, na piaszczystem wybrzeżu. Domek mieszkalny był nie wielki ale czysty i porządkny; znać koło niego staranie i zamiłowanie ładu; spojrzawszy nań, czytałeś spokój i swobodę jaka tu panować musiała. Wielka brama słomą kryta, owa brama starodawna z furtką podniesioną, do której wchodziło się po wschodkach, z daszkiem na wierzchu, szeroko roztwierająca się, wiodła na dziedzińczyk czysty i

zamknięty z jednej strony domkiem, który miał gane-
czek na dwóch słupkach rzeźbionych wsparty, i po dwa
okna z każdego boku, z drugiej stajenką osadzoną bzami,
z trzeciej kuchnią i placem wirginią okrytym. W po-
dwórku tem, niewykwintnem i niezarażonem niewczesną
angielszczyzną, stado białych gołębi, mieszkających na
strychach sąsiednich budowli, zabawiało się poufale. Pod
samemi oknami był malutki, dawnym trybem oparka-
niony brzezina ogródeczek, z którego niecierpliwe krze-
winy wysadzały zielone i różowe główki, wyglądając
jedne w dziedziniec, drugie wpatrując się w okna. Tuż
po za kuchnią i domem był ów lasek, o którym wspo-
mnieliśmy, a o kilka kroków, nagle brzeg wysoki ucięty,
dozwał widzieć rzekę szeroko i wspaniale płynącą, na
której przeciwnej stronie szumiała daleko rozlegająca
się puszcza.

Trochę opodal między sosnami wznosiły się zabu-
dowania gospodarskie, stodoły, obory, chlewy i owczar-
nie, w dwa prostokąty wielkie ustawione. Między niemi
a dworem był domek dla ekonoma.

Wielka cisza panowała tu, przerywana tylko mru-
czeniem rzeki, na której w dole niedaleko stał pływak
nieustannie huczący swemi niezmordowanemi kołami i
szumem sąsiedniego lasu. W chwili gdy do Kluków
przychodzimy, właśnie Bolesław konno powraca z go-
spodarskiego przeglądu i oddawszy konia pod stajnię,
spieszy do matki. Wejdźmy i my za nim do cichej jego
ustroni. Oto utworzył pierwszy pokój, ubogo przybrany
ale miły i czysty. Jest to prosta izdebka fol-
warczna, którą smak mieszkańców i wytworne staranie
przerobiły na coś niezmiernie szczerą prostotą wdzię-
cznego. Podłoga zmyta jakby dzisiaj jeszcze, pułap

z belkami, piec biały i komin szeroki... bo w Polesiu ile izb tyle kominów... w głębi sofa opasana poręczą poduszkową dokoła, szarem płótnem tylko z czerwoną życzką przykryta, kilka krzeseł i fotel podobny do sofy, stół wielki politurowany na ciemny mahoeń, drugi pod oknem mniejszy... nie więcej tu nie było. Żadnej ozdoby, żadnego wyszukania i pretensji. Zapomniałem tylko o kilku wazonach z kwiatami na oknie, i o dużym puharze z bukietem leśnym, złożonym z konwalji, irysów, żonkilów i paproci na stole. Łatwo to opisać, ale trudno wyobrazić holenderską czystość i białość, jaka ten pokój zdobiła, czyniąc go nad wszelki wyraz miłym i powabnym. Obok był drugi nieco mniejszy, podobny do pierwszego, o jednym oknie, z sofą, stolikiem i szafeczką, w której widać było trochę książek. Z niego były drzwi do sypialni matki Bolesława.

Tu doskonale malowała się kobieta schludną tę izdebkę zamieszkująca... wszędzie nadzwyczajny panował porządek, wszędzie owa lśniąca i wesoła czystość, nie mająca jednak przy sobie tego chłodu, jaki czasem przesadne, metodyczne uporządkowanie wyziewa. U okna łóżecko wąskie, ze stolikiem zarzuconym robótkami, książkami i kobiecym porządeczkiem; przed niemi maleńki na ziemi ale prosty kobierczyk. W głowach Najświętsza Panna, ta wszystkich matek i dzieci opiekunka, palma i maleńka fajansowa kropielniczka, a przy niej ćwiek do wieszania kluczków. Dalej skrzynie, komody, krosna, stoliki, pełno pozaczynanych kobiecych robótek; tam skrojona bielizna, owdzie zwinięte nici, motków stosy, płótno w sztukach, białe talki, świeżo z blechu oddane. W rogu, w maleńkiej szafce zioła i lekarstwa, w większej odzienie, bielizna i zapasy domowe, starannie

ułożone. Zegar szafkowy, stojący naprzeciw łóżka, powolnym chodem oznajmywał pani domu bieg czasu, którego wartość znała lepiej od innych.

Jej tu nie było w tej chwili; Bolesław zajrzał tylko na palcach podszedłszy do cichego kąta, nie zobaczył matki i wyszedł do siebie, smutnie potrząsnawszy głową.

Dwa pokoiki Bolesława, na których również znać było rękę i pieczę kobiecą, sień tylko przegradzała od pierwszych. Większy służył mu dla przyjęcia gości jego bardzo rzadkich; rozweselały go broń zawieszona na ścianach, kilka sztychów ze Smuglewicza i widoków Canalettego, trochę kwiatów, wreszcie i widok na dalekie lasy i rzekę. Drzwi szklanne wprost wiodły stąd do nad-Styrowego ogródka. Drugie łączyły go z sypialnią Bolesława, utrzymaną w porządku nie przesadnym a miłym. Tu wszędzie przebijało się upodobanie gospodarza: w reszcie pokoiów nie wałała się żadna książka, żaden papier mogący wydać tajemnicę poety (przyjmiemy to przezwisko nadane mu przez niechętnych), ale w sypialni książki miały pierwsze miejsce. Pełno ich było wszędzie, stół duży przy łóżku cały się pokrył niemi. Na sofie z przeciwnej strony spoczywało także kilka otwartych, półka przy ścianie dźwigała ich jeszcze trochę, było parę na kominie, parę w kącie na stoliczku. Ale najjawniejszym dowodem grzechu poezji był stos papierów i papierków, w głowach łoża, na których zdala odgadnąć było można jakoś od razu, że nie rachunki gospodarskie mieściły.

Papier zapisany ma także właściwą sobie fizjognomję; oko co się z nim częściej widuje, pozna od razu, czym jest każdy jego zwitek, każdy obdarty szpargalik. Inaczej wygląda urywek listu plenipotentą, inaczej kartka

w powieści, registryk z miasta, piosenka. Co więcej, powiedziałbym, że z daleka poznam i odróżnię odę do słońca, sonet do N. N., lub baladę. Zdaje mi się, że sam nawet gatunek papieru ma jakiś związek z myślą, która się na nim błakała... ale o tem szeroko rozpisywać się nie będę, wpadłbym w papierowy mistycyzm; wróćmy do Bolesława i jego stolika.

Nie same on dźwigał poezje; owszem, więcej tam było nie rymowanych studjów historycznych, z książek mało znanych, wypisów i tłumaczeń, a najmniej tych grzesznych wiązanek słów, które z dwójga jedno, okrywają sławą lub śmiesznością człowieka... najczęściej niestety! ostatnią!

Wśród papierów, dziwne też spotkały się ślady innych zajęć... były kłosa zaschłe w jesieni zerwane, był suchy bławatek, kilka łodyg z żółkłych kwiatów, garstka mchu, jakiś dziwnych kształtów oset.

Na kominie, zwyczajem poleskim, tlał ogień wiekuisty, dzień i noc trwający; przed nim wielki pudel biały smaczuie się sobie wylegał. Posłyszawszy jednak chód pana, podniósł się i o trzech nogach przyszedł go powitać; kulał bowiem na czwartą. Zmyślne to zwierzę w milczeniu przysunęło się do ręki Bolesława i polizawszy ją, krok w krok za nim poszło do kanapy.

— A! Wierny! — rzekł Bolesław głaszcząc ulubieńca — żal ci, żeś nie mógł pójść za mną; a na cóż ci było kota gonić i nogę sobie kaleczyć! Teraz musisz w domu posiedzieć.

Pudel spojrzał, coś zaskowyczał i wynagradzając sobie za opuszczoną przechadzkę, wskoczył na kanapę, głowę kładnąc na kolanach pana.

W tem z za drzwi łagodny, pieszczony odezwał się głoszek :

— Do kogoż to mówisz, mój Bolku ?

— To mama!! — zawołał szybko zrywając się młody chłopiec. — Mówiłem z moim Wiernym. Ale gdzież mama była? szukałem jej i znaleźć nie mogłem. Godziż się to słabej, ledwie cokolwiek sił odzyskawszy, zaraz się znowu dobijać pracą? Moja mamó! moja najdroższa mamó!

Matka Bolesława, która z uśmiechem wdzięcznym weszła do jego pokoju, była nie młodą już kobietą, dziwnie wyrazistych rysów twarzy. Smutek i mocą duszy przytępiona boleść malowały się na niej; ciągnęła myśl i wysiłek, by osłonić powierzchownym spokojem wewnętrzne cierpienie, znamionująca niepospolitą potęgę woli, biła z jej rysów statecznych. Ubrana ubogo ale czysto i niemal wykwintnie, wysokiego wzrostu, postawy poważnej, pani Wilczek zastanawiała nietylko ostatkami wielkiej niegdyś piękności, dziś jeszcze bardzo widocznej, ale ogółem rysów charakterystycznych i przejętych duszą silną. Jakby męczeńska aureola światła błyskała na jej wybladłych skroniach, tem wybitniej, że heroicznie stłumić w sobie i upokorzyć usiłowała ten wspaniały wyraz zwycięskiej boleści.

Wejrzenie jej było łagodne, słowo dźwięczne i miłe, uśmiech macierzyństwem przejęty; całość twarzy tworzyła jedną z tych głów, na które dość wejrzeć, by przez nie wyczytać napiętnowane palcem Bożym istoty wyższe... wybranych.

Na zapytanie syna odpowiedziała z uśmiechem żartobliwym i wesołym.

— Mój Bolku, tybyś mnie przez zbytnią swoją tro-

skliwość zamordował w domu, a mnie, wiesz, potrzeba do życia powietrza i ruchu pracy. Gnuśność ponieważ tysiące ludzi, praca nie zabija nikogo.

— Ale mamó... z twojem zdrowiem?

— Zdrowie moje, jak wszystkich wychuchanych na-
zbyt za młodu, ciągle się niby psuje, ale trwa widzisz i posłuży mi dłużej pewnie, niż inne na pozór olbrzymie.

Bolek zamilkł, ale nie przekonany odezwał się po chwili:

— Droga mamó, czyż myślisz, że ja nie widzę i nie czuję tego co się z tobą dzieje? O! serce synowskie najtajemniejsze cierpienia odgadnie, póki bije razem z tem macierzyńskiem sercem, którego jest gałązką. Ty się pracą zamęczasz; nieraz w nocy podsłuchałem twej modlitwy bezsennej, wiem jakie bole znosisz w cichości, odprawivszy wprzód wszystkich, aby cię nikt nawet po-
żałować nie mógł. We dnie wstajesz potem i pokazujesz twarz wesolą. Kłamany święcie uśmiech, żeby mnie nie martwić, aleś chora, chora...

Pani Wilczek dwie lzy stanęły w oczach, zarumie-
niła się, usiadła i po chwili odpowiedziała głosem peł-
nym wzruszenia:

— Przywiduje ci się moje dziecko; gdybym wreszcie i cierpiąca była trochę, na cóż wołać o litość i pomoc, gdy nie ma coby pomogło?

— Ale jest, ktoby się ulitował! — zawołał syn.

— Nie rozumiem tego egoizmu, który pragnie litości, by trochę zwolnić swego bólu kosztem cudzym. Co się tyczy pracy, ty wiesz jak ona mi jest miłą, potrzebną, konieczną; to moje lekarstwo jedyne, to moja rozrywka, to życie...

— Ale ta rozrywka zabija, mama jej nadużywa.

— Nie! nie! spuść się na mnie; dobijać się nie myślę, nie mogę, nie chcę; jestem matką i mam ciebie.

Bolek rzucił się jej do nóg i chwytając za ręce, rzekł półgłosem:

— Biedna, biedna matko moja, tyś święta, tyś męczennica! Czyż ci Bóg losu i na starość nie osłodzi?

— Dziecko! ja się przecie nie skarżę!

— Ale cierpisz?

— Któż nie cierpi?

— Tak jak ty, święcie, jak ty łagodnie i anielsko, nikt pewnie.

— O mój Bolku, nie przesadzaj; więcej daleko cierpieli święci pańscy za wiarę i ktoś... ty wiesz... Ktoś jeszcze więcej cierpi.

Bolek spuścił głowę, umilkł i płakał.

— No, dość tego, — przerwała matka żywo, otrząsając się z wrażenia tej chwili rozmowy — człowiek nie na jęki stworzony; pracujmy, ufajmy w Boga; skarga to oręż słabych i oręż słaby, męczy ich i ludzi od niczego nie broni; zostawmy go biednym wiecznie tylko sobą zajętem samolubom. Gdzie byłeś?

— Byłem w polu przy radłach, u siewaczy, na łąkach, wszędzie gdzieś myślał, że może oko moje być potrzebne. Ale cóż moje oko warte! wszakże to tylko nie-wprawny wzrok nieuka, którego ośmiewają poetą!

— Nie uważaj Bolku; mniejsza o śmiechy ludzkie, gdy sumienie spokojne mówi ci, że spełniasz powinności jak możesz. Powoli nabierzesz doświadczenia, rozmiłujesz się w swoim stanie wieśniaczym i przestaniesz tęsknić za czem innem, bo wy młodzi zawsze tęsknicie.

— O! nie ja przynajmniej.

— Nie chcę cię badać, ale Boga proszę, żebyś ten

stan swój zamiłował. Mnie się widzi, że pocziwszej ubogiej doli nie ma, jak na szlacheckim zagonie. Swoboda, lasy, natura, cisza, lud w około pocziwy, dla którego nie wielkim kosztem ojcem być można... bo kosztem serca tylko i... praca miła, urozmaicona, zajmująca; wieczorem spoczynek z książką i myślą... czegoż więcej pragnąć można?

Bolek westchnął i zarumienił się, zakłopotał widocznie; matki oko widziało rumieniec, odgadło myśl co go wydobyła.

— Tak, to prawda, — rzekł Bolek — czegoż pragnąć, chyba...

— No, dokończ szczerze, czegoż?

— Mamo, obawiam się.

— Jakto? ze mną?

— Prawda! nie godzi się, żebym dłużej tał przed tobą... i tak dziś wszystko powiedzieć miałem.

— O! wiem, że długo tać byś się nie potrafił.

— To prawda! z tobą!

— Wiem zresztą, że wzdychasz po młodemu za życia towarzyszką; wiem i to, że kochasz Justysię.

— No, kiedy tak, droga mamo, kiedy już pierwsze lody złamane, powiedz mi, co o tem myślisz?

— Jak matka, szczerze, po prostu, chcesz bym ci mówiła całą prawdę, choćby niemiłą?

— Nie miłą! możesz że!...

— Posłuchaj, usiądź i bądź chwilę cierpliwy; niech cię to, co powiem, nie zraża; mówię co myślę, ty zrobisz jak zechcesz. Nie życzyłabym sobie, żebyś się żenił tak młodo; ubogi jesteś, ale przynajmniej swobodny, ja ci nie wiele zawadzam. Żona, dzieci, to obowiązki często nad siły sumiennego człowieka; podjąć

się ich za młodu i porywczo, nierozmyślnie... aż straszno! a dla ciebie, mój drogi poeto, podwójnie. Chciałabym, żebyś wprzód wyrobił w sobie charakter, moc duszy, którą masz w zarodku, aleś jej potęgi nie pewien jeszcze; chciałabym, żebyś dojrzał i ochłódł; bo życie małżeńskie to zawsze bój powolny i ofiary bez końca. Kto wie, czy żony nie będziesz potrzebował wychowywać dla siebie, przerabiać, że tak powiem. Masz-li na to siły? Miłość jest jednym z żywiołów życia małżeńskiego, ale nie jedynym; wiele cnót potrzeba i wielkich, by ten zawód sakramentalny rozpocząć z Bogiem i w Bogu. Lecz mijam to wszystko; serce moje chce dla ciebie dłuższej, swobodnej młodości, bo te lata co ci może ciężą, drogie są mój Bolku, drogie!! To kwiatek życia, któremu spieszo na zawiązkę owocu przekwitnąć. Czas jeszcze będzie na owoce... Zresztą, mało znam Justysię; wierzę, że kiedy ci się podobała, kiedy ma dla ciebie choć trochę przywiązania, dla ciebie ubogiego, nieznanego, nie błyskotliwego chłopaka, już to być musi dobra dziewczyna, bo się poznała na istotnej wartości twojej; ale za nic nie chciałabym, żebyś się żenił bogato, z bogatszą od ciebie. Dla mężczyzny to upokorzenie, to są zawsze więzy na przyszłość. Ty nie masz nic, lub tak jak nic; szukaj równej sobie, coby ci serce i pocziwą dłoń pracowitą przyniosła w posagu. Takiej ja dla ciebie pragnę, mój Bolku.

— Widzę smutek na twojej twarzy... daruj kochany, ale czyż to nie obowiązek matki powiedzieć co jej rozum i serce szepcą?

— Moja mamó, droga moja mamó, wszystko to prawda, święta prawda co mówiłaś mi, ale... ja ją kocham.

— O! wieleś mi powiedział tem jednym słowem Bolku... ale pomyśl, pomyśl, zapuść się w głąb serca, czy ją tak kochasz, że to wielkie przywiązanie wszystko ci w życiu opłaci?

— A! wszystko!

— Bolku! pomyśl!

— Mamo! ty nie wiesz, ty się jeszcze nie domyślasz mojego do niej przywiązania; ja ją kocham myślą całą, sercem, kocham duszą, kocham wszystkiem życiem mojem... jest to urzeczywistniony ideał mój, jest to moje szczęście jedyne...

— Na Boga, nie puszczaj cugli uczuciu ani wyrazom, bo ucierpisz, drogi Bolku; ucierpisz okropnie... oni cię nie mogą przyjąć, oni cię nie przyjmą.

Bolek zamilkł i podparł głowę na dłoni.

— Któż wie! ona mnie kocha!

— Możesz się uwodzić... Kto zna serce płochego, młodego dziewczęcia?

— Mamo, ona nie płocha.

— Zresztą, ona cię kochać może, pozwalam, ale matka?

— W tym względzie nie uwodzę się; matka mnie nie lubi... ona mnie także prześladowe poetę.

— Biedna, słaba istota! — odezwała się pani Wilczek... — nie mówmy o tem, dość tego na dziś. Bóg tem pokieruje, ty musisz pojechać na kilka miesięcy...

Bolek zarumienił się jak dziewczę.

— Mówmy owszem, — rzekł żywo — nie mam co tać; muszę wreszcie wiedzieć, czy się mam czego spodziewać; bo w tym stanie niepewności nie wytrwam dłużej.

— Cóżś zamierzył? Sam tak, bez porady! bezemnie!

— Nigdybym tego bez ciebie nie zrobił... miałem się zawsze poradzić wprzód i za twoją pójść radą; alem nie wątpił, że się na to zgodzisz, iż mi czas... wybrnąć z tego...

Pani Wilczek pomyślała.

— Chcesz się więc oświadczyć?

— Tak jest.

— Sam?

— Nie, uprosiłem pana Derewiańskiego; on tu dziś przyjedzie...

— Jakto, dziś? tak, zaraz.

— Dziś, daruj mamó!

Matka trochę pobladła, zarumieniła się potem, ale prędko utaiła w sobie miotające ją uczucie, i z rezygnacją spokojną odparła:

— Będę się modliła za ciebie, a Bóg niech uczyni co tam z góry opatrzył. Lecz gdybyś mnie chciał posłuchać, tobyś to przynajmniej trochę odłożył.

— Nie mogę, droga mamó... tam ktoś już jest, tam mnie mogą uprzedzić i wyrwać mi ten skarb.

Westchnęła pani Wilczek.

— Trzebaż mi było powiedzieć, że Derewiański dziś będzie; muszę pójść do kuchni i coś jeszcze w objedzie odmienić; pewnie na obiad przyjedzie?

— Spodziewam się go co chwila... ale wszak do kuchni posłać można?

— Wolę pójść sama.

Bolek jeszcze raz pocałował ją w rękę, ona go czule za głowę uściśnęła i pocałowała w białe czoło; szeptali potem coraz ciszej, a on ją przeprowadził aż do ganku. Ztąd po chwili rozmowy... pilna gospodyni pospieszyła do kuchni.

Ten obrazek z życia matki Bolesława, któryśmy tu skreślili, słabo nam ją maluje; potrzeba ją było widzieć ciągle, w nieustannem zajęciu, w niezmordowanej pracy przy niefolgujących jej boleściach, bez jęku, bez uzależnienia, bez skargi, od rana do nocy krzającą się z robotą w rękę, ze spojrzeniem zdradzającym więcej nadludzką cierpliwość niżeli cierpienie... by to ciche poświęcenie siebie chrześcijańskiej niewiasty ocenić.

Zaledwie stanęła na progu kuchni a Bolek odszedł zamyślony do swego pokoiku, gdy zaturkotało i drobne dzwonki koników oznajmiły znaudy zaprząg pana Derewiańskiego.

Pocziwe to było człowieczysko ten pan Derewiański, sąsiad Kluków; szlachcic na jednej wiosce, rad ze swego położenia, wesoły przy mierności, chętnie żartujący łagodnie ze wszystkich śmieszności ludzkich, trochę wychowanec ósmnastego wieku, ale religijnie poprawiony przez żonę, żywą i trochę dziwaczną kobietę, oryginał powszechnie pomimo oryginalności swojej szanowany, wszystkim miły i pożądaný gość w każdym domu. Już to bojąc się, już poważając, ludzie go bardzo słuchali, i tak miał ustaloną opinię, że komu dłoń podał, inaczey zaraz na niego spoglądano. Pan Derewiański powierzchowność miał bardzo pospolitą: maleńki, otyły, łysy, rumiany, niepocześnie ubrany, z ruchami żywymi, z fizjognomją zmienną i wyrazistą a prawie zawsze na uśmiech zarywającą, dodawał sobie oryginalności jeszcze pretensją do włosów, które pożyczał z tyłu głowy, usiłując, zawsze niefortunnie, trzymać je na przodzie, i pewnego rodzaju rubasznnością młodzieńczą, trochę wiekowi niewłaściwą.

— Cichusieńko, puściusieńko i nikogo w domu, a to

pora objadowa! — zawołał wysiadając.

— I gospodarz i gospodyni kochanego gościa otwar-temi rękoma i sercem witają! — odezwał się Bolek nadbiegając.

— A daruj! posadziłem, że poeta zabłąkał się gdzie w lasach, i porozumiewszy się z zakochanym, poszli sobie na przechadzkę, zapomniawszy o sąsiedzie.

— Kochany panie, na Boga, nie jestem poetą!

— No, o tem potem, a pocziwa i godna matka twoja?

— Zaraz, zaraz ci służyć będzie; ale znasz ją pan; chwili spróżnować nie może, poszła do swojego gospodarstwa.

— Jakże bo ty na to pozwalasz?

— Czyż mogę się jej sprzeciwić?

— Prawda i to! święta kobieta, ale musi być uparta... bo to ich rzecz.

— Zmiłuj się drogi panie, ona!!

— Wypsnęło mi się... przepraszam, ale widzisz, mając zawsze przed oczyma wzór pocziwości razem i uporu, moją kochaną Domicelkę, wszędzie już widzę ten upor...

— Gdzież pójdziemy, do mnie czy do mamy?

— Gdzie chcesz, ale jeśli jej nie ma, to do ciebie, i każesz mi dać wódki.

Wszedł i kozaczek, którego zaraz po śniadanie posłano; pan Derewiański tymczasem jak najpilniej się krzątał około swej łysiny, i mocno się zajął przed lustrem zburzoną architekturą swych włosów.

— No, a co u was słychać — spytał; — siejesz już hreczkę?

— O jeszcze wcześniej.

— Ej poeto! żeby potem nie było za późno.

— Sąsiedzie a dobrodzieju, znowu poeta; przynajmniej we własnym moim domu mnie nie łaj.

— Gdzież jeśli nie tu, wśród tysiąca dowodów twego powołania.

I wskazał na książki i papiery.

— Czyż już czytać nie można nie będąc poetą?

— Ba! choć to się inaczej czyta, inaczej obchodzi z książką. I u mnie się tam znajdzie jedna i druga, ale ja czytam beznamiętnie, idąc spać, siadając do drzemki, w czasie upartej słoty, lub gdy Domicelka łaje.. najczęściej jednak na sen... I powiem ci, że jeden doktor Niemiec, chytra sztuka, przez pochlebstwo chciał mi wytłumaczyć, że tak czytać najlepiej, bo i dzieci na noc lekcję powtarzając, dłużej ją pamiętają.

Bolek się rozśmiał serdecznie; Derewiański już nareszcie był uporządkował swoich pięć włosów, misternie je rozłożywszy po jednym na łysinie, a dokonawszy tego wielkiego dzieła, usiadł jak najwygodniej.

— Mówiłeś co matce? — zapytał.

— Nie odważyłbym się może, ale matka mi powiedziała sama.

— Ba! wszystkiego się domyśliła! byłem tego pewny; na to kobiety wdech mają przedziwny; daruj, ale to znowu moja Domicelka temu winna; najpoczeiwsza niewiasta, ale domyślna!... No, i cóż?

— Matka, jakim się spodziewała, jest temu przeciwna.

— Byłem i tego pewny, ale powody?

— Wielkie i słuszne, wyznają: młodość moja, ubóstwo, jej wyższe położenie w społeczeństwie.

— Co waspan zwarzował? — zakrzyknął Derewiański — a czemuż to ona od wasci wyższa, wzrostem?

— Choćby tylko majątkiem!

— No, toć nie wielkie nieszczęście.

— Matka moja ma słuszość, wołałaby równą mnie a ubogą.

— Coś tych waszych rafinerji nie rozumiem.

— Chyba nie chcesz rozumieć, kochany sąsiedzie.

— Bo powiem ci szczerze, bez pochlebstwa, taki chłopiec jak ty więcej wart niż odłużone Zaborze, które po Justysi wziąć można; nie ty więc im, ale raczej oni tobie pokłonić się powinni.

— Nadto mnie pan pochlebnie sądzisz — rzekł Bolek skromnie. — Ale otoż i mama.

Wchodziła właśnie pani Wilczek i wesoło powitała gościa, zaraz go ciągnąc na przeciwną stronę. Bolesław, któremu dała jakieś chwilowe zajęcie, poznał, że go nie chciała mieć świadkiem rozmowy, i wyszedł smutny ku zabudowaniom gospodarskim. W pokoiku bawialnym podano tymczasem śniadanie, a pani domu przyniosłszy swoją pończochę, bez której nie stąpiła, odezwała się spokojnie do Derewiańskiego:

— Kochany sąsiedzie, wiesz już zapewne o mego biednego Bolka zamysłach?

— Wiem, bardzo winszuję — rzekł zajądając Derewiański — dobra panienka, ładna panienka, nie uboga, jedynaczka, ród pocziwy, i czegoż więcej żądać?

— Ale powiedz mi, do czego jemu ożenienie?

— Żeby miał żonę, pani dobrodziejko, — śmiejąc się odparł sąsiad — alboż nie ma dobrych odlewanych lat dwadzieścia kilka? Pani wie przysłowie, że kto się wczesnie ożenił, nigdy nie żałował, a przysłowia są mądrością narodów, według nie starej jeszcze teorii. A lepiej... żeby to było gdyby zasmakował w kawaler-

skiem życiu, naprzykład, nie obmawiając pana Alfreda lub jemu podobnych?

— Zlituj się, uchwaj Boże mnie i jego od takiego nieszczęścia! ale z drugiej strony uważ proszę: młody, niewytrawiony, nie mający pojęcia ile trudności to naj-słodsze życie mu gotuje, bez majątku; ona bogatsza, matka przeciwna, po co to wszystko?

— Pani dobrodziejka zebrałaś przeciwko nam masę zarzutów na raz, a ja ich inaczej jak segregując, ode-przeć nie mogę. A zatem kategorycznie: młody? mło-demu się tylko i żenić: będzie miał czas oswoić się ze swoim stanem i do jarzma małżeńskiego, jak to po sta-remu zwali, nawyknąć. Ożenienie późniejsze licha warto, to tak jak gruszki, co je na drzewie długo trzymają, żeby dojrzały lepiej, dopóki nie pomarzną; człek pod-szeptawszy się, nawyknie nadto do swobody, gderliwy, znudzony, bez czucia. Co się tycze niewytrawienia, po-wiadasz pani, przepraszam, ale on na swój wiek jest bardzo wytrawny i charakteru pewnego. Po trzecie, że bez majątku, ale pracowity i stateczny; z tamtej strony też majątek nie tak wielki, nie miliony. Bolek więcej może wart czegoś niż Zaborza z długami; właśnie i jemu to mówiłem. Matka by sobie może życzyła coś świetniejszego, ale powoli ją przekonamy, że nie wszystko złoto co się świeci, a co się świeci nie koniecznie złoto. Nie stawaj pani Bolkowi na drodze do jego szczęścia; mnie się staremu widzi, że to dla niego dobre, stosowne, a co największa, wszak się mościa dobrodziejko kochają? To argument niezbity.

Spuściła głowę matka.

— Przeczuwam tysiące trudności i przeciwności.

— Cóż na świecie bez boleści przychodzi? to tylko

rzeczy nabytej wartości dodaje.

— Ale nuż matka całkiem odmówi, żadnej mu nie zostawując nadziei?

— Zdaje mi się, że to być nie może; gdyby jednak tak być miało, jak pani mówisz, ha! cóż robić; lepiej niech chłopiec za jedną nogę nie wisi, i nie bałamuci się dłużej. Kiedy ma to przeboleć, niech wcześniej rozpocznie, to prędzej skończy.

— Zawsze to dla mnie wielkie strapienie, wielka boleść, — mówiła po cichu matka — jakkolwiek się to skończy, serce mi się ścisnąć musi... ale niech się dzieje wola Boża!

Wejście powolne Bolesława zmieniło tok rozmowy; pan Derewiański z właściwą sobie zwrotnością dobrze ujeżdżonego konia, przeskoczył na obojętne nowinki weselsze, chcąc panią domu w dobry wprowadzić humor. Napróżno! tkwiło przykre wrażenie w sercu matki, która choć je starannie ukryć pragnęła, choć uśmiechała się i rozmawiała, znać było, że myślą biegła gdzieindziej.

Im więcej zbliżała się chwila wyjazdu Bolka do Zaborza, tem częściej pocziwa matka chodziła na krótkie modlitewki do swego pokoju, żebrząc u Boga ducha, którego jej na ten stanowczy raz brakło. Gdy przyszło już siadać, a Bolek rzucił się jej do nóg, prosząc, by mu pobłogosławiła, błagając, by była spokojną, pani Wilczek, pomimo największego wysilenia na odwagę i rezygnację, pobladła, chciała się pochylić, by syna uścisnąć, i siły ją zupełnie opuściły.

Uśmiechem starała się jeszcze zetrzeć z twarzy wyraz boleści, i z tym uśmiechem... omdlała.

Naturalnie odłożono wyjazd dnia tego, pomimo jej naglenia i tłumaczeń, że zbyt gorąco było w pokoju,

że post był temu przyczyną. Syn pozostał przy niej nieodstępny, a Derewiański silił się na dodawanie otuchy swoim sposobem, to jest żartami. Tak spędzili czas do wieczora, i matka jakby wstydząc się tego chwilowego braku rezygnacji i męstwa, resztę dnia dość dobrze udawała wesołość i spokój. O mroku wyszli na przechadzkę do ogródka i tu nad brzegiem rzeki spędzili resztę czasu do nocy; bo i wieczerzę pod sosnami zastawiono.

Gdy się spać rozchodzili, Bolesław milczący przykląkł przed matką znowu, ona go w cichości, nie mówiąc i słowa, pobłogosławiła i odprawiła żywo, kryjąc łzy, które znowu wytrysnęły. Nazajutrz o świcie wyjechać postanowili.

Derewiański tak poradził, aby uniknąć scen nowych i oszczędzić wzruszeń biednej kobiecie.

Lecz gdy przyszło wychodzić z domku do bryczki stojącej za bramą, ujrzeni na ganku postać białą, która z daleka żegnała ich krzyżykiem... była to matka. Obawiali się ją budzić, ona całą noc nie spała.

Gdy konie ruszyły z przed wrót, usiadła na ławeczce, i nieruchoma pozostała w zamyśleniu głębokiem, nie wiedząc co się w koło niej dzieje. Nie dziwujmy się niepokojowi jej serca: los syna miał się dnia tego rozwiązać!

VII.

O s w i a d c z e n i e .

Stanisław powitał przybywających gości uśmiechnioną twarzą, wychodząc naprzeciw nim na ganek, a pana Derewiańskiego, dawnego znajomego i przyjaciela nieboszczyka, czule w ramię pocałował. Wszystko co mu stare przypominało czasy, było dla niego relikwią.

— Jak się masz, jak się masz kochany Skibo! — zawołał gość — zawsze zdrów, czerstwy i młody.

— O! o! drogi panie! wolne żarty! gdzież zaś!

— A doprawdy, jak rydz mi wyglądasz, choć dziś się żenić.

— Chyba z Kostuchą, szanowny panie.

— A fe! mógłbyś i z Kostuchą, ale nie z tą paskudnicą, o której wspominasz. Co tam u was słychać? pani w domu? panienka?

— I są i nie ma — odparł Stanisław — korzystając z pięknego dnia, panna Justyna zawiozła matkę do piasieki, ale niedługo powrócić muszą, bo kochana pani moja zabawić nie może, jej i powietrze czasem szkodzi, bo ją upaja.

— Zawsze tak słabowita!

— Zawsze, kochany panie; wszystko jej Bóg dał, tylko zdrowia pożałował. Wielkie to nieszczęście dla tych co ją kochają, patrzeć jak stęka i boleje.

Derewiański z Bolkiem usiedli w ganku, a Stanisław nie odchodząc już, krzątał się przy nich w wybornym humorze. Coraz to spojrzał na Bolka i znowu na swata,

jakby się chciał upewnić, że nie darmo przyjechali; nareszcie nie wytrzymał, zbliżył się do pana Derewiańskiego i szepnęła:

— A có? pan z rękodzielnikiem?

— Gdybyś też zgadł, to co?

— Podziękowałbym panu Bogu, bo mi się tego dawno chce... ale czy tak? doprawdy?

— Może to być wszystko; powiedz-że mi ty co ich tu znasz na palcach, a nie pójdziemy my z kwitkiem?

Bolesław trochę się usunął, słysząc, że zaczynają szeptać po cichu.

— Za nic ręczyć nie mogę, — powolnie rzekł stary sługa — kocham pana Bolesława bardzo, jakoś mi aż nieboszczyka mego anioła zdaje się przypominać, a to wielka rzecz!... ale muszę wyznać wam wcześniej, że moja pani do niego nie ma serca. Pan Bolesław bardzo koło panienki chodzi, a tu potrzeba i starszym się przypodobać. Pocziwa, najlepsza i najdroższa pani moja, ale lubi, żeby o niej nie zapominali, boć tego warta; a biedaczka samotna, opuszczona. Zresztą nie wiem czemu pan Bolesław jej jakoś nie w smak.

— O! to źle, mój Stanisławie, a cóż będziemy robić?

— To nic, powoli tylko panie kochany, a posłuchajcie mnie. Coś mi się widzi, między nami, że panienka dla niego dobrze usposobiona, to już pierwsza wygrana; potem i nasza pani da się nakłonić, ale nie nacierajcie zbyt żywo, nie wynagajcie od niej stanowczego słowa, bo możecie sobie naprowadzić odmówienie; kontentujcie się odłożeniem, namysłem, byleby nie zrywać. Pan jak byłeś przyjacielem nieboszczyka anioła mego, i masz wagę u mojej pani; jeśliby mu odkryła powody, dla których może być przeciwna, potrafisz jakoś przełamać

jej wstręt... jeśli jest wstręt.

— Alboż o tem nie wiesz?

— Mogę z panem szczerze mówić; nikogo tu nie zdradzam, a widzi mi się, że naszemu dziecku służyć. Według mnie, pan Bolesław ze wszystkich tu najpożądalszy, ale go kochany panie ośmiewają ludzie, że nadto lubi książki; jak gdyby to lepiej było żeby karty, kieliszek, bułankę i szachrajkę lubił, jak inni. Toć w książce nigdy tyle złego być nie może, co w próżniactwie i rozpucie. A pani moja słysząc o tem, zakosztowawszy biedy, najwięcej widzę boi się dla córki niegospodarza.

— Niegospodarza! — wykrzyknął Derewiański z zapalem przyjaźni — a któż to u licha zmyślił, że on nie gospodarz! Niech-że mi w okolicy lepszego pokażą. U nich chyba gospodarz ten, co nieustannie ma na języku to czego nie zrobił i chwali się jak żyd krostą. On, nie gospodarz! któż mógł tak bezczelnie skłamać!

— Dużoby to o tem mówić, ale dość, że pani ma go zawsze za młodzieniaszka, co sobie nie da rady na świecie; pańskie słowo wiele tu pomódz może. Ale z panią powoli, nie nastawajcie, nie napadajcie jej; powtarzajcie tylko swoje a swoje.

— Bóg ci zapłać mój stary przyjacielu za dobrą radę; widzę, żeś ty się poznał na Bołku! Niech-że cię za to uściskam i w dodatku pocałuję.

Stanisław z uśmiechem wziął za rękę gościa i serdecznie przytulili się do siebie; poczem westchnął stary sługa.

— Oj panie, panie — rzekł — aż mi łzy do oczu podchodzą... gdzie to nasze dobre czasy, kiedy mój anioł żył. Stał tu kiedy dom tak głuchą pustką? było u nas kiedy tak smutno? Pamięta pan imieniny pańskie lub

zapusty! albo na Najświętszą Pannę Anielską! Co gości, co wrzawy! co życzliwych! A teraz... głucho, cicho jak w klasztorze, wszyscy o nas pozapominali. Bieda panie!

— Zachciałeś stary; ludzie mają krótką pamięć i ciasne serca, to rzecz wiadoma...

— Oj prawda, prawda. Żebyście też wiedzieli, jak moja pani to czuje, jak jej życie ciężkie! A jeszcze w dodatku... ale to domowe sprawy.

— No? cóż tam takiego?

— E! nic! nic! obojętne to fraszki, i mówić się już o tem nie godzi. Pozwólcie mi odejść, bo i pani może nadjechać wkrótce, a u mnie w kredensie nieporządek.

To mówiąc, szybko usunął się stary, żwawiej pospieszając w sieniach, a do kredensu biegiem już niemal dopadł. Czy przeczuwał, czy usłyszał, ale nim pan Derewiański miał czas rozmówić się z Bolesławem, stary koczyk pani Żackiej zatoczył się przed ganek.

— Komenderówka taka, — szepnął Derewiański na przódce, widząc gospodynię nadjeżdżającą. — Waćpan przy pannie, ja przy matce; wprzódty nim co będzie, trochę ją spenetruję.

Ledwie miał czas tych słów domówić, gdy wdowa wysiadła, a ujrzawszy Bolka z panem Derewiańskim, mocno się zmieszała i zarumieniła; Justysia spojrzała także, przywitała ich, i widać było jak jej ręce drżały, gdy zdejmowała kapelusz.

Goście wprowadzili tylko gospodynię do domu, i dając jej czas do spoczynku, ubrania, rozporządzenia, wyszli zaraz do ogrodu. Przechadzka ich trwała dobre pół godziny... Bolesław był zamyślony i smutny; wszelką odwagę odjęło mu zimne, więcej może niż zimne powitanie; Derewiański jak mógł i umiał żartował, i serjo

go pocieszał. Nareszcie zbliżyli się do domu i weszli do niego. Pani Żacka już siedziała na swej kanapie i dosyć uprzejmym uśmiechem przyjęła wchodzących... Justysi nie było jeszcze. Razem oba zbliżyli się, spiesząc zapytać o zdrowie i rozpoczęli tkankę rozmowy, jak zwykle, od obojętnych i oklepanych rzeczy. Derewiański sadził się na wesołość, chcąc nią dobrze przygotować panię domu; z nienacka wrzucił parę razy pochwałę gospodarstwa Bolesława, na którą grzecznie choć niedowierzającym uśmiechem odpowiadano; potem wpadł na opowiadania o dawnych czasach.

Justysia nie wychodziła długo, a Bolesław, który do najmniejszego jej kroku wielkie przywiązywał znaczenie, zbladł, zmieształ się i widocznie cierpieć począł.

Upłynęła godzina, jej nie było jeszcze; nareszcie zbliżyła się pora objadów i dziewczę wsunęło się po cichu, jak cień, blade, smętne mimo uśmiechu, widocznie zmieszane i przelekłe. Matka w progu zmierzyła ją okiem niespokojnem, przerywając co chwila rozmowę, a odgadnąwszy stan dziecka, spuściła głowę zakłopotana. Derewiański pospieszył powitać Justysię z zalotnością XVIII-go wieku, zowiąc ją na przemiany bóstwem wiosny i królową Polesia, a po wynurzeniu swego zachwycenia powrócił do matki, zostawując Bolesławowi porę zbliżenia się z kolei do swojej bogdanki. Ale Bolesław tak był strapiony długiem jej nieukazywaniem się, tak stracił wszelką nadzieję i przeczuwał odprawę, tak zwątpił o sercu Justysi, że pochmurzony, nie wiedział co zrobić z sobą i nieśmiało podniósłszy oczy na nią, spuścił je ku ziemi.

Wszyscy zresztą równie byli skłopotani, i jedna tylko Justysia spostrzegła zmianę w Bolesławie, zwykle

ożywionym i wesołym. Derewiański próbując załatać ten zły humor, sadił się na dowcip, ale i jemu szło jak z kamienia; odzywał się nie do rzeczy, płatał, poprawiał i brnął w pocie czoła, starając się wywiązać z przyjętych obowiązków swata. Coraz to z pod oka spojrział na Bolesława, radby go był popchnąć ku Justysi; ten siedział milczący, nieruchomy, sparaliżowany jak wkuty. Justysia przechadzała się trochę po pokoju, usiadła na chwilę, zajęła się robotą i wstała niby szukając czegoś; był to doskonały powód zbliżenia się jej w pomoc... Bolesław, popchnięty wejrzeniem i ruszeniem ramion przyjaciela, wstał nareszcie.

Zbliżyli się do siebie, nie ze swobodą dawniejszą, nie z wesołością dni powszednich, ale jakby z obawą i przeczuciem mającego ich dotknąć smutku.

— Pozwoli pani, bym jej dopomógł?

— Dziękuję panu... bardzo panu dziękuję... sama nie wiem, czegoś brakującego mi do roboty szukałam.

— Justysiu — zawołała matka — widzę, że ci zaszkodziło słońce; głowa cię boli, położyłabyś się może?

— O nie mam — stanowczo odpowiedziała sił nabierając córka — nic mi nie jest... szukam roboty...

— Połowę życia tracimy na szukaniu, — przerwał Derewiański — to rzecz niezawodna; drugą połowę na gubieniu. — To mówiąc obrócił się do matki, przysiadł do niej i ciszej począł rozmowę.

Serce zabiło Bolesławowi i Justysi, która wejrzeniem jednym odgadła wszystko; pani Żacka była w płomieniach.

Bolek tymczasem znalazłszy początek do rozmowy, odzyskawszy trochę śmiałości, nie opuszczał Justysi,

która unikała oczów matki, wiedząc, że ją odwołują od niego.

Dwie te ciche rozmowy, w dwóch końcach pokoju wiedzione, dziwny tok przybrać musiały... każdy z przytomnych mówił, zapytywał, odpowiadał roztargniony, i usiłował jeszcze choć słowo podchwycić od drugiej pary. Matka pragnęła dojść, co mówił Bolek z jej córką, Derewiański nastawiał ucho na dochodzący go szept Justysi, a Bolek i ona, zarówno pragnęli złapać co mówił sąsiad i co odpowiadała matka. Każdy rozerwany tak, męczył się i niepokoił sobą i drugimi.

Słuchajmy pierwszej rozmowy :

— Szanowna pani sędzino i dobrodziejko — odezwał się swat całując wdowę w rękę z uśmiechem wypracowanym — nie myślcie, żebym ja tu bez interesu naprzykrzał się w Zaborzu...

— Zawsze mi bardzo miło widzieć kochanego sąsiada.

— Ale dziś może, chce pani mówić, nie najbardziej?

— Czemu?

— Boś już pani odgadła z czem przyjechałem, spojrzawszy z kim jadę; nieprawdaż?

— O, doprawdy nie.

— Być nie może! być nie może! Ale mnie to bynajmniej nie zraża, że sędzina dobrodziejka zrozumieć mnie nie chce; będę chociażby sylabizował to, co jej mam powiedzieć.

— Wierz mi pan, że istotnie nie ndaję, ale się nie domyślam.

— Daruj mi, szanowna i droga pani, nie moja to wina, ale zapewne najpocziwszej w świecie i ukochanej mojej Domicelki, z której miarę biorąc, zawsze posądzam kobiety o udawanie...

— Co też pan pleciesz na tę swoją żonę!

— Najzacniejsza kobiecina, święta z kośćmi, ale z kośćmi kobieta!

— No i cóż z tego?

— Więc często, gdy nie chce słyszeć, głuchnie nagle, gdy nie chce widzieć, ślepie.

— Ale ja, doprawdy...

— To вина Domicelki... Otoż, pani dobrodziejko, do rzeczy wracamy: pani się nie domyśla, że ja tu po prost w swaty?

Sędzina spojrzała obłąkanym wzrokiem, usta się jej zatrzęsły, nie rzekła słowa.

— Tak to panią dziwi! Nic przecie nadzwyczajnego. Ze spokojniejszym sumieniem nie szedłbym do niej za własnym synem przemówić, bo ten za kim się wstawiam, pocziwy, zdolny i najpiękniejszych nadziei chłopiec. Nie wątpię, że i pani go ocenić potrafiłaś. Mówię o przytomnym tu Bolesławie Wilczku.

Zrazu sędzinie trudno było i słowa wymówić, tak się mocno zmieszła; ale przyszedłszy powoli do siebie odparła cicho:

— Bardzo mu jestem wdzięczna, prawdziwie nmiem to uczuć... ale... ale...

— Niech mi pani daruje otwartość moją, nie przyjechałem tu dobijać się zaraz o słowo, o przyrzeczenie... wiem, że to rzecz wielkiej wagi. Przybyłem tylko polecić go pani i niejako zaręczyć za niego, choć zdaje mi się, nie potrzebuje zaręczeń, kto go zna.

Sędzina się tem trochę ośmieliła.

— Szanowny panie Derewiański — szepnęła. — Znasz-że go tak dobrze z bliska?

— Jak własne dziecko.

— Nie przeczę, że to jest piękna dusza, charakter miły, ale...

— Otwarcie, proszę pani, otwarcie...

— Pozwalasz?

— Najmocniej proszę... jak najszczerzej, po przyjacielsku.

— Zważ więc, kochany Derewiański, zważ moje położenie matki, zważ potrzeby i powiedz czy mogę pomyśleć nawet o takim wyborze dla Justysi? Chłopiec młody, niedoświadczony, niegospodarz, poeta!... Znasz nasze interesa, potrzebę opieki, moje zdrowie; ja muszę szukać człowieka, któryby był czynny, wytrawny i zapewnił jej i mnie spokojność.

— Wiem doskonale czego pani potrzeba, i dlatego nie zawstydzę się z Bolesławem. Pani go widzę zna mało i sądzi powierzchownie; to człowiek gruntowny choć młody. Dla pani potrzeba właśnie zięcia z charakterem i sercem, któryby ją otoczył troskliwością, delikatnością, staraniem. Dał on dowody w obejściu z matką, jak umie czuć i spełniać obowiązki. Pani ktoś nieprzyjazny zapewne odmalował go marzycielem, poetą; takim on nie jest. Lubi książki, nie przeczę, ale dla nich nie opuszcza pracy jaką mu Bóg wyznaczył.

— Zdaje mi się, że sam się trochę mylisz, kochany sąsiedzie; zbyt cię oczarował.

— Nic a nic, jestem owszem surowym sędzią... Kluki sąsiadują z Międzyługami, łąny nasze stykają się z sobą; wzorowe, powiadam pani, gospodarstwo.

Wdowa z uśmiechem niedowierzania potrząsnęła głową.

— Słowo uczciwe daję pani; jak moją Domicelkę kocham, że nic nie przesadzam.

— Muszę wierzyć choć mi trudno. Nie wiem dla czego obawiam się ludzi co lubią książki; są zwykle mili, wymowni, ale im życie nie idzie, bo na nic nie patrzą.

— Czy to ma być reguła bez wyjątku?

— Dotąd przynajmniej tak bywało.

Derewiański ruszył ramionami. — Co tu począć? — pomyślał w duchu; — uparta jak Domicelka! Zacznę z innej beczki.

— Nie bogaty to prawda, nie wielkiego imienia, ale serce, ochota do pracy... nagrodzą to sownie. Zresztą gdyby się pannie Justynie podobał?

— To dziecię, to dziecię!... — żywo przerwała pani Żacka — nie mógł się jej ani podobać, ani niepodobać... ona o tem nie myśli...

A teraz posłuchajmy drugiej rozmowy. Bolek stał nad krzesłem schylonej u roboty Justysi.

— Czy istotnie nie jesteś paui cierpiąca? — pytał z cicha — zdaje mi się, że widzę w niej zmianę.

— Trochem się zmęczyła przechadzką.

— A może i niespodziewanymi gośćmi nie w porę.

— My tak jesteśmy opuszczeni, tak zawsze sami, że żaden gość nie w porę dla nas być nie może.

— Więc byle gość?

— Nie łap mnie pan za słowa; nie potrafię doprawdy obronić mu się dzisiaj... jestem w jakimś usposobieniu leniwem.

— A jam pragnął znaleźć panią inaczej, jeśli kiedy to dzisiaj...

— Dzisiaj? — powtórzyła z cicha.

— Tak... Czy pani nic mi nie pomożesz?

— Radabym owszem, żebyś sam mi do rozmowy

dopomógł; sił do niej nie czuję w sobie, jestem tak zmęczona...

— Mam odejść?

— O! nie! nie! pan mnie nie rozumiesz!

— Pani także zrozumieć mnie nie chcesz.

— Nie mogę, nie powinnam...

Bolesław zamilkł strapiiony.

— Więc pani wieś już, że mnie zrozumieć nie wolno?...

— zapytał po chwili.

Justysia spojrzała w okno, potem na niego, wymownie, tęskno, podała mu rękę w milczeniu, i wróciła do swojej roboty.

Przysłuchiwali się urywanej rozmowie pani Żackiej. Bolesław nie wiedział, jak swoje na nowo rozpocząć; przewidywał złe ciągle, czuł, że mu z tej chwili zbliżenia się do Justysi korzystać było potrzeba, drżał i poradzić sobie nie umiał.

— Daruj pani — rzekł nareszcie — że jej jestem tak niezdolnie natrętnym, ale któż wie, czy jutro będę mógł jeszcze odezwać się do niej; muszę korzystać z drogiej dla mnie godziny. Dziś rozwiąże się los mój tutaj, a jeżeli mi odmówią nawet nadziei, chciałbym po sobie tylko jedno słowo jej zostawić, jedno... na wieki... na wieki!!...

Justysia łzawe oczy szybko zwróciła ku niemu.

— Wierzę — odpowiedziała wzruszona — wierzę, bo wiem, że nie igrasz ze słowem jak inni, że u niego słowo jest świętym myśli i serca wyrazem. Wierzę... — wstrzymała się. — Miejmy nadzieję, — dodała cichutko schylając się nad krosienka... zawsze nadzieję do końca, nawet kiedy jej już mieć nie będzie wolno...

— O! dziękuję pani, i radbym rzucić się jej do nóg za to słówko orzeźwiające.

Mogę więc mówić z jej matką, a cokolwiek wypadnie...

— Przyjąć jak od matki, z pokorą, z poddaniem, i ufać Bognu, a sobie więcej niż dotąd, i w ostatku komuś jeszcze, ufać trochę...

Tu przerwać musimy i drugą rozmowę, bo obie w tej chwili wejście Stanisława, oznajmującego objad, rozprzegło, a Derewiański musiał na potem odłożyć dowodzenia, do których w czasie stołu miał porę przygotować się i nzbroid.

Na objad przysła panna Kunegunda, ale milcząca jak zawsze, nie przyłożyła się wcale do ożywienia przytomnych. Spytana kilka razy, odpowiadała lakonicznie i zamilkła. Stanisław, który dobrze widział, jak się nie kleiło gościom i pani, użył przywileju od dawna mu służącego, mieszania się do rozmowy, i wciąż prawie odzywał.

Ale i on nie był ochoczy, bo czytał w oczach panienki, matki i Derewiańskiego zakłopotanie, wróżące złe skutki dziewosłębów. Jednego Bolka z pogodniejszą twarzą, ze śmielszem wejrzeniem pojąć na ten raz nie umiał, nie domyślając się co mu tę siłę i pewność dawało; z ciekawością wlepił w niego oczy; starzec tego wytłumaczyć sobie nie mógł.

Objad, nie przedłużany rozmową, skończył się bardzo prędko i na czarną kawę powrócili wszyscy do salonu, a wkrótce pani Żacka z Derewiańskim wyszła do drugiego pokoju, siadając tak, żeby z niego widziała Justysię i Bolka, którym za milczącego świadka dodała pannę Kunegundę z pończoszką.

Po chwili wypoczynku, Derewiański znowu powoli; szturm przypuszczać zaczął.

— A zatem, kochana sędzino, — odezwał się — cóż mi na moje usilne i najuniżeńsze prośby odpowiedzieć raczysz ?

— Prawdziwie — zbierając się na siłę odezwała wdowa — chciałabym z serca, tak zacnemu pośrednikowi nie odmawiać, a jednak muszę...

— Jakto ? tak wręcz odmówić ?

— Tak jest. Trudnoby mi się było z powodów wytłumaczyć: są obawy, są uczucia, z których człowiek sprawy sobie zdać nie potrafi, cóż dopiero drugim ? I tu tak właśnie, nie umiem ci się wypowiedzieć, co mnie do tego skłania, panie Derewiański: szanuję pana Bolesława, ale ile razy na myśl mi przyjdzie, że mógłby być zięciem moim, dreszcz po mnie przechodzi; uważam to za rodzaj przeczucia.

— Może to po prostu chimera — odparł żywo przyjaciel. — Daruj mi pani, ale tu znów Domicelka temu winna.

Pani Żacka musiała się roześmiać, prędko jednak powróciła do swojej powagi.

— Miałabyś pani serce tak mi wbrew odpowiedzieć ?

— Muszę, bo nie pojmuję, żebym to zdanie, jakie mam dziś, zmienić kiedy mogła.

— Zostaw-że nam pani nadziei choć na lekarstwo !

— Jakąż mogę dać panu ? mnie się zdaje, że lepiej daleko nie łudzić się żadną, to leczy najskuteczniej.

— A jeśli córka pani ?...

— Moja córka — spiesźnie wrzuciła wdowa — moja córka podziela myśli i uczucia moje.

— Pani dobrodziejka jesteś tego pewna ?

— Najzupełniej! — rumieniać się skłamała matka.

— Więc przynajmniej nie masz pani powodu odmawiać panu Bolesławowi domu swego. Biednemu chłopcu zbyt to będzie ciężkiem i tak do zniesienia. Pojmowałbym, żebyś pani widząc jaką rodzącą się skłonność w córce, a nie chcąc jej rozdmuchiwać, zakazała mną być, ale kiedy tak jest...

Pani Żacka okropnie uczuła się złapaną; kłamstwo jedno wpędziło ją w sieć nierozplątaną.

— Ale na cóż — odparła broniąc się — na cóż ma się uwodzić, do czego bałamucić?

— O! nie rozraniaj-że mu pani serca nadaremnie — żywo przerwał Derewiański — co to szkodzi, że choć popatrzy na nią...

Wdowa tak w tej chwili była zmieszana, że zamilkła, a zrečný swat skorzystał z tego, pocałował ją w rękę i zagadał wesoło.

— Więc choć za to dziękuję, żeś mu pani ze wszystkim głowy nie ucięła... Biedny chłopiec, przynajmniej będzie miał czas oswoić się ze swoim nieszczęściem i pokonać srogi ból, z daleka na bóstwo swych myśli spoglądając... Dziękuję pani, serdecznie dziękuję...

— Ale ja panu nic nie obiecywałam!

— Owszem pani, wiele, bardzo wiele, jak skoro mu pani choć bywać dozwalasza; i za to niech ci będą jak największe dzięki. Nie znam kobiety wyższej umysłem i wspanialszej nad panią...

Gdy tak Derewiański dziękował, choć nie było za co, pani Żacka chciała się koniecznie wycofać, a nie widziała sposobu. Postrzegł to sąsiad i bardzo zrecznie począł tak odprowadzać rozmowę od pierwszego jej przedmiotu, żeby jej już nie dać stoczyć się na niebez-

pieczną pochyłość. Wdowa dostała niezwykłych rumieńców, i z tego pragnienia powrotu do pierwszej treści, a niemożności zagadnienia go w rzeczy tak delikatnej, z pełności myśli różnych, które się w jej głowie krzyżowały, zupełnie zamilkła na chwilę, wodząc oczyma rozognionemi niepokojem po podłodze, po suficie, po ścianach.

Sąsiad tymczasem zacierał jak mógł ślady, któremiby nazad wrócić było można; nie chciał nagle uciąć, żeby to się nie zdało zbyt widocznem a bojaźliwem, i za przejście użył porównania Bolesława z otaczającą go młodzieżą.

— Powiem pani dobrodziejce — odezwał się żywo i pospiesznie — że mój Bolesław, mój ukochany Bolek, to istotnie perła młodzieży naszej, choć go pani tak surowo sądzisz... A! cóż na to poradzić, są niewytłumaczone wstręty; ale nie mniej jest to najznakomitszy w okolicy młodzian. Radbym, żeby mój syn był mu podobny, ale go moja Domicelka pieści, nie mogę temu zapobiedz, bo zaraz płacze, a ja znowu płaczu kobiecego gorzej ognia się lękam. Otoż, wracając do niego, perła, pani dobrodziejko, perła urjańska! Gdzież mi kto pokaże coś podobnego! wszystko to przy nim hałastrą i błazny, jeśli mi się pani tak wyrazić pozwolisz. On jeden na człowieka się kieruje! Nie daleko sznakając, ten dudek Alfredek, cóż to za truteń!

— Nie łaskawie się pan o nim wyrażasz! — z przy-ciskiem przerwała wreszcie pani Żacka — ale to bardzo przyzwoity młody człowiek.

— Przepraszam panią dobrodziejkę, ale to najnie-przyzwoitszy hultaj jakiego ziemia nosi.

— Panie Derewiański! — z wymówką przerwała wdowa.

— A jużciż choć tego bronić pani nie możesz?

— Dla czego?

— Boć to cały Boży świat wie, że nie ma łotra i szalaławiły nad niego.

— Nie wiem jego życia, ale w salonie...

— A! ba! niech bo się pani nie spuszcza na to co w salonie... to właśnie źle, że w salonie tak śliczny, przyzwoity, gładki, grzeczny, pachnący, a za drzwiami kozak. Czuje, że wstydzicby się powinien za życie, które prowadzi, a nie chce się poprawić.

— Ale cóż to za życie prowadzi? — coraz żywiej spytała pani Żacka, zapominając o dwojgu młodych zostawionych w pierwszym pokoju. — Juściż nie kradnie, nie rozbija, nie...

— Wszystkiego tego jest po trochu, tylko inną formą: kradnie, bo ma długów tyle, że ich nie będzie w stanie popłacić, robi jeszcze nowe, i wie, że nie będzie miał ich czem oddać. Zabija, bo młodzież najniepoczciwej psuje.

— Na Boga! panie Derewiański, unosisz się; cóż on panu zrobił?

— Co mi zrobił? Nic a nic! owszem, byłem przyjacielem jego pocziwej matki i ojca, dobrze mn życzę, i właśnie dla tego w oczy i za oczy tak surowo go sądzę. Pani mówisz, że się uprzedzam; ja jeszcze po-błażający jestem.

— Ale to fałsz przecie, żeby tak źle miało być w interesach; mówiono mi nawet, że dobry gospodarz!

Na te słowa wymówione serjo, Derewiański tak dziwną zrobił minę, tak się zdumiał, a nareszcie tak homerycznym parsknął śmiechem, biorąc się przez ostro-

żność za boki, że wdowa spłonęła z gniewu i niecierpliwości.

— W Imię Ojca! któż to pani mówił! kto to pani mówił! Toż nie bez przyczyny, nie bez kozery tak panią oszukują. On gospodarz! on gospodarz!

I począł znowu latając po pokoju, zagarniając i rozrzucając swych włosów kupkę, tak się śmiać, jakby śmiech ten niepomahowany nigdy nie miał ustać. Wdowa zacięła usta trochę gniewna.

— On gospodarz! — powtórzył stając nareszcie. — Przecież jak żyw nie był na polu chyba z chartami; całe dnie gra w karty! Stracił co gdzie tylko miał.

— Ale pan zapomina, że stryj był główną przyczyną jego strat, — przerwała pani Żacka.

Na te słowa Derewiański śmiać się poprzestał, i nagle przechodząc do smutno-poważnego tonu, rzekł powolnie:

— Ktoś widzę acani dobrodziejce androny tu poplótł o nim; a że te zapewne nie bez celu, czuję się więc w obowiązku powiedzieć jej o nim zimną a gołą prawdę! nic nadto, nie mniej. Chciej-że mnie asani dobrodziejka wysłuchać.

— Ja mówię z głosu powszechnego, nikt mi nic o nim nie mówił; — szepnęła tłumacząc się gospodyni.

— Ależ głos powszechny wcale inaczej mówi; muszę się więc domyślać w tym głosie szczególnego i interesowanego może, — odpowiedział Derewiański — proszę o chwilę cierpliwości. Rzecz się ma tak: Pan Alfred jest chłopiec bystry i zdatny, to prawda.

— Widzisz pan.

— Proszę wysłuchać do końca; zdatny i bystry, to prawda, ale zepsuty, zły i chytry w najwyższym stopniu.

Stracił zdrowie na rozpuście, pieniądze w karty, czas na hulance, a wstyd na drobnych brudnych awanturkach. Stryj, którego procesował, oddał mu majątek mimowoli może czystym: on sam go zatachłował. Dziś ma cztery razy tyle długu ile warte Otręby, i w sperandzie, że jeszcze straci co kiedykolwiek mieć może. U niego od dnia do nocy pijatyka, gra i najgorsze towarzystwo; gospodarstwo gorzej niż złe, bo żadne, nigdy nie dogłądane; w worku dziura, w głowie zielono, w sercu pusto. Ot, cały pan Alfred! Ale co prawda to prawda; jak się ogoli, wysztafiruje, jak minkę ułoży, pazurki powciaga, i przed progiem zamaskuje się w niewiniątko, to go w salonie do rany przyłożyć. Miły, grzeczny, sprytny, nie głupi, uda, kogo zechce, nawet porządnego... i uczciwego człowieka.

— Panie Derewiański! — przełęczniona tym obrazem odezwała się Żacka — i to pan mówisz bez gniewu, bez uprzedzenia?

— Jest to taka prawda, jak szanuję pamięć jej zamego męża, jak cenię jej przyjaźń dla mnie, i jak moją Domicelkę kocham, co wszystko kwestji nie ulega, zdaje mi się.

— Ale toby była poczwara!

— Bo i jest! — rzekł Derewiański. — Kto go chwali, albo bardzo głupi, albo zły bardzo. Zlituj się pani, to najniebezpieczniejszy człowiek!

Żacka z niecierpliwością ruszyła ramionami; Derewiański począł się przechadzać, poprawiając włosy; coś myślał. Nagle stanął wśród pokoju, podniósł brwi, usta nadał i rzekł jakby się opamiętując:

— Ba! ba! ba! jestem w domu! rozumiem!

— Co to jest? — spytała wdowa.

— U pani podobno służy dawny jego ekonom, co to się ożenił z Terenią... z jego... z jego... (połknął wyraz) z tą fertyczną córunią Szwarca! Boikowski! on to zapewne wychwalić tak musiał dawnego swego pryncypała! Nie inaczej.

Zawstydzila się odgadniona i rumieniąc się pośpiesznie odparła:

— Nie mówiłam z nim o tem nigdy!

— Jeśli tak, to już nie wiem, kto go tak mógł okłamać.

— Przecież go może nie wszyscy z tak złej strony widzą i sądzą tak surowo.

— Wszyscy uczciwi ludzie... Postawię pani do jej wyboru osób dwadzieścia, jeśli jedna powie inaczej... tom winien.

Derewiański wymówił to tak serjo i z głębokiem przekonaniem, że pani Żacka, strapiona widocznie, umilkła, uczuła się zachwianą, przestraszoną. W tej chwili ujrzała razem przezedrzwi, że panna Kunegunda nad pończoszką drzemać zaczynała, a Justysia i Bolek zostali prawie bez świadka; ruszyła więc, przerywając dalszą rozmowę, do pierwszego pokoju.

Szelest przychodzących obudził pannę Kunegundę, która silnie odchrząknawszy naprzód, poczęła nadzwyczaj szybko obracać w ręku druty, jak gdyby czas stracony na drzemce nagrodzić usiłowała.

Bystrem okiem zmierzyła matka córkę i Bolka: on stał za jej krosnami, oparty na poręczy próżnego krzesła, ona ze spuszczoną głową szyła zamyślona; oboje mieli twarze smutne ale spokojne. Sąsiad wyrżał także ku nim i zdziwił się niepomału, widząc Bolka tak obojętnym.

— Dziękuj panu Bogu, — rzekł do siebie w duchu — żem ci twoją sprawę podreperował i wyłatał... Kawaler

widzę już jakby po przyrzeczeniu, zdawszy na mnie wszystko, odpoczywa bezpieczny...

W tem i Stanisław wsunął się pod jakimś pozorem do bawialnego pokoju, dla obejrzenia co się też tam działo. Wielki znawca ludzi, i jak wszyscy słudzy, przywykły z oczu czytać stan duszy i to co go spowodowało, z pod brwi nawisłej nieznacznem wejrzeniem powiódł po wszystkich: spostrzegł niepokój i niecierpliwość swej pani, Derewiańskiego niemal wesołe zdziwienie, spokój Bolesława, Justysi pozorną obojętność, i wywnioskował, że rzeczy nie doszły do ostateczności. Kołysany tem, pozamykał drzwi, pościerał pył, szepnął pannie Kunegundzie, że na nią czekają w kawiarni, i spojrzawszy jeszcze baczniej na twarz, do swej izdebki przy kredensie powrócił.

Trzeba go tu widzieć było, jak wsparty na łokciu, zadumał się głęboko, i pójść z myślami jego na wędrówkę, by uwierzyć, że i jedna z nich nie uleciała nad nim; wszystkie gnały albo w przeszłość uświęconą życiem tego anioła, którego ciągle miał na ustach, albo po nad głowy jego dziedziców, co serce pocziwego sługi po nim objęli. Dumał Stanisław o wdowie, o dziewczęciu, o nieszczęsnych więzach w jakie go skuwała potrzebna w obejściu z panią Żacką ostrożność; dumał jak odepchnąć niebezpiecznych a przybliżyć pożądaných, i niepostrzeżony przynieść im spokój i szczęście, których pragnął zarówno dla matki i dla córki. Wśród rozmyślań jego, nadbiegł Maciek od kuchni, odrapany i brudny jak był, ale obłany potem rześistym w dodatku.

— A co? — spytał Stanisław — chodził Jan do karczmy?

— Nie, taki nie, spi w budzie.

- Co to za furmanki szły drogą?
- Żyto powieźli od nas do miasteczka.
- Wiele było furmanek?
- Dziesięć.
- Liczyłeś?
- A jakże.

— Bo to widzisz — dodał Stanisław — pani mi się kazala dowiedzieć, a mnie samemu pójść ciężko. Nie wiesz gdzie jest Boikowski?

- Pojechał podobno do Juchima na Zapadnię.
- Dawno?
- Jeszcze z rana!
- Któż w polu przy siewaczach?
- Nie ma nikogo.

— Nikogo! prawda! nikogo! — pokręcił stary głową — no to pójdziesz powiedz odemnie Janowi, niech z daleka, ponad ogrodu, nagląda na siewaczy; on to się zna i na gospodarstwie trochę.

— Dobrze panie!

— I pamiętaj Maćku, żebyś mi znowu przez to, że cię tam i owdzie posyłam, nie nauczył się niepotrzebnych nosić plotek. Ja stary, pani mnie to zaleca, a nie zdążam sam; za to cię nauczę cokolwiek, że mnie wyręczysz. Co do ciebie nie należy i czego ci nie polecono, o tem nie gadaj, a nie ucz się donosić. Rozumiesz mnie?

Stanisław pogłaskał go po głowie z uśmiechem.

— Idź-że i powiedz Janowi com ci polecił, z za płotu nie wielka mu rzecz spojrzeć na ludzi.

Po chwili szybko powrócił Maciek.

- A cóż to?
- Nic, tylko że Jan już powędrował.
- A to dokąd?

— Mnie się zdaje, że musiał pójść do Moszka, bo się coś mruczając, zawrócił w tę stronę; ja go odwołałem... Czegoś kłął i spluwał; długo mnie niechciał zrozumieć, tylko ciągle powtarzał swoje... Wciurnastki! Wciurnastki! i słowo honoru! ale jakim mu oznajmił coście przykazali, zastanowił się, pomachał ręką i krzyknął do mnie: Idź-że powiedz panu Stanisławowi, niechaj sobie innego przyjmie sługę; ja tu za dwoma kieliszkami na dzień nie będę; wolę zdechnąć.

— A to łotr niepoprawiony! — zawołał Stanisław i pobiegł do ogródka.

Tu już Jana nie było; ale drożyną zobaczył jeszcze zdala wlokącego się powoli do karczemki stojącej pod lasem. Stanisław krzyknął na niego od furtki:

— Wróć się!

Staął.

— A co? — odparł ruszając ramionami z wyraźnie buntowniczą miną.

— Dokąd-że to?

— Dokąd! gdzie mi się podoba! No! choćby i do Moszka, to co?

— A jeśli tak, to zapewne wiesz, że już tu powracać nie powinienes!

— U! wa! wielka mi rzecz twoje dwa kieliszki wódki, myślisz, że się na nie połakomię? Nie!... nie! Waćpan jesteś człowiek zdradliwy i nieszczerzy, panie Stanisławie; ja waćpana znać nie chcę! Nie powrócę! nie powrócę!

— Co ci się stało?

— A! co mi się stało! Jeszcze się pytacie? Ha! a godziło się to ze mną taki targ robić o mizerny kieliszek wódki, kiedy ogrodnik pije po trzy na dzień i to większych u panny Kunegundy; i słyszę, że jest

takie prawo we dworze od samej pani dane, żeby koniecznie pili wszyscy po trzy.

Stanisław nieznacznie się uśmiechnął ruszając ramionami.

— Dają po trzy tym co pracują a nie upijają się — rzekł.

— A jaż nie pracuję i upijam się, czy co? Jeszcze piję! — Wzniósł ręce do góry jakby na taką potwarz skarżył się niebu.

— Cóż ty robisz?

— Nie pilnuję sadu?

— Co w nim jest do pilnowania?

— Co jest to jest, ja sadu pilnuję... należy mi się trzy nie dwa kieliszki; waćpan chcesz na mnie biednym się bogacić! Fe! fe! wstydz się waćpan, ja jestem żebrak, a tegobym nie zrobił! Bądź waćpan zdrow.

To mówiąc dumnie odwrócił się Jan i poszedł.

— Hej Janie czekaj! — zawołał Stanisław. — Co ci za muchy w nos wlażyły?

— Muchy! muchy! — powtórzył Jan — bądź waćpan zdrow, pójdę drwa rąbać do Moszka, to mi da trzy kieliszki.

— No, idź-że! — odezwał się sługa — ale pamiętaj nie powracaj, i na oczy ani się więcej nie pokazuj.

Jan postąpił jeszcze kilka kroków mruczając, i stanął chwilę.

— Oj dola! dola! — rzekł — kiedy dola to dola! Pijak i pijak! Kto się wyrwie: pijak! dwa kieliszki, kiepskie dwa kieliszeczki! Panie Stanisławie, posłuchajno!

— A co jeszcze?

— Dajcie mi trzy jak ogrodnikowi.

— Nie dam.

— To już okrucieństwo! — krzyknął Jan. — A kiedy jest takie prawo we dworze od samej pani, że wszyscy po trzy piją?

— No, a ty masz odemnie prawo na dwa.

— A mówicie, żem pijak?

— Boś pijak!

— A oni to nie?

— Oni pracują i nie upijają się.

— No, kiedyż im nie pijakom dajecie po trzy, to mnie, kiedy już mam być nałogowym, i trzy nawet mało! To w oczy skacze! — gorąco z gestykulacją dramatyczną dodał Jan. — Inaczej może być nieszczęście, to oczywista!

Stanisław już był furtkę zamknął i odszedł, Jan sparł się na kiju, spoglądając to ku karczemce Moszka, to na dwór i ogród; poczem następujący monolog, w rodzaju Hamletowego, deklamował z wielkiem uczuciem:

— Iść... czy nie iść? Tu jeść dają, to prawda, ale wódki mało; tam głód może, ale wódka, choćby ją tylko wachać przyszło, cały dzień... Moszkowa dobra kobieta, niech sobie co chcą mówią... Prawda, że obedrze do koszuli, ale wódki dla jakichś głupich przesądów nigdy nie odmówi. Serce dobre, głowa dobra, nieszczęście, że żydówka. Stanisław ogromnie zły i skąpy człowiek; nie chce wejść w moje położenie, że mi pragnienie pali wnętrzności; zimna istota! Słowo honoru... kamień! Wciurnastki! wciurnastki! co tu począć? może mnie nawet już nie przyjmie. Powiedziałem mu słowo prawdy... gorzkie... U Moszka siedź póki chcesz... i miła to pozycja tej karczemki; nieraz ktoś się nowy nawinie, a we dworze djabie tęskno. Pójdę, niech ich tam djabli wezmą! Moszkowa da na kredyt: udam, że mam dwa

złote; zawiążę guzik w węzelek i będę się szeptał z rozwiązywaniem, póki nie wypiję; dopiero jej poproszę o poczekanie... Wybiją! ale nie! żyd nie będzie śmiał mnie tknąć; zresztą przecież oddam!

To mówiąc, posunął się ku karczemce; Stanisław, który tej walce przypatrywał się z daleka, ruszył ramionami i poszedł do dworu z głową zwieszoną.

Tu już się miało ku odjazdowi, i pan Derewiański właśnie z głośnemi komplementami i uśmiechem pokrywającym zły humor, wychodził z bawialnego pokoju, wiodąc za sobą Bolesława równie smutnego, ale uspokojonego.

— A co? — zapytał po cichu Stanisław, podając płócienny płaszczyk panu Derewiańskiemu — a co tam?

— Niechaj to na później — odpowiedział sąsiad — od razu trudno.

— Aleście nie wzięli odprawy, broń Boże?

— O! ba! za kogoż mnie macie, żebym do tego dopuścił — rzekł uśmiechając się krzywo swat.

— A bardzo się pani opiera?

— Dosyć...

Stanisław ruszył ramionami i pobiegł do Bolesława.

— Paneczku — rzekł po cichu — nie traćcie nadziei, jakoś to będzie... jakoś to będzie! zobaczycie!

— Dziękuję ci, dobry panie Stanisławie.

— A przyjeżdżajcie często, często... choćby się pani trochę skrzywiła czasem; cóż robić!

Na tych słowach, zawołanie Stanisława do pokoju, przerwało przyjacielską jego radę.

VIII.

I n t r y g i.

Reszta dnia, po odjeździe pana Derewiańskiego z Bolesławem zatruta była dla pani Żackiej, wzruszeniem którego z rana doznała. Biedna kobieta nie mogła znieść nic silniej ją wstrząsającego, i każdą podobną domową scenę, po której na jakiś czas opadała na ducha, musiała rozdrażniona okupić cierpieniem, wymagającym długiego spoczynku. Zaledwie drzwi się zamknęły za gośćmi. córka która ją знаła pobiegła ku niej, wołając w pomoc Stanisława, i przeprowadziła ją na wygodniejszą kanapę w jej pokoiku, gdzie ostawiwszy ją poduszkami, umieściwszy jak najtroskliwiej, sama u nóg na stołeczku milcząca i strapiona usiadła.

Stanisław pobiegł po wodę gorącą, i po krople na podobne razy doświadczone, z młodocianą żywością spiesząc ją poratować: rad że usłużyć może, że go zapotrzebowano, gniewny na chorobę którą najmniejszy powód odnawiał.

Justysia nadto znała matkę, by śmiała ją w tej chwili dopytywać; musiała pomimo ciekawości czekać, aż sama mówić o tem rozpocznie. Pani Żacka milczała, pokaszliwała, skarżyła się na ból głowy nieznośny, na zmęczenie, wdychała, i po długim przeciągu czasu poczęła od narzekania na pana Derewiańskiego.

— Mój Boże, jakże się ten Derewiański odmienił! Taki się zrobił nudny, szyderski, złośliwy, pełen wybiegów, tak mnie swoją rozmową umęczył...

Justysia patrzała na matkę w milczeniu, okrywała jej nogi, osłaniała od chłodnego przewiewu, nie ośmieszała się mówić jeszcze.

— Wystaw sobie, moje dziecko, — ciągnęła dalej matka — śmiał mi z taką dziwną propozycją przyjechać! Córka spojrzała.

— O! domyślasz się moje dziecko, wszak z nim przyjechał! Chciał cię połączyć z panem poetą! — Z uśmiechem gniewu niemal dodała żywo.

Justysia zapłoneła się mocno i spuściła oczy łzawe.

— Ale mu odpowiedziałam...

Mówiąc te słowa matka spojrzała na nią, zobaczyła łzy w jej oczach i przerwała załamując ręce.

— A! ja nieszczęśliwa! ty płaczesz!...

— Ja mamო? ale nie! gdzie tam! Czegóżbym miała płakać?

— Pokaż oczy Justysiu.

— Zakręciło mi, tak...

— Pewna już teraz jestem, ty masz słabość do niego!

Córka zamilezała.

— Ale ty to sobie wyperswadujesz; ja nie mogę, ja nie chcę wydać cię na wieczne ubóstwo i żale... to być nie może, to dzieciństwo. Derewiański dziwny, doprawdy, śmieszny człowiek! Co oni widzą w Bolesławie? i ty także z nimi, ja tego nie rozumiem! Ani przy stojny, ani tak się znaleźć umie, ani imienia, ani majątku, ani głowy, a w dodatku... poeta!

— Mamο! — odezwała się wreszcie przywiedziona do ostatka Justysia — mamο, szanuję wolę twoją, nigdy się jej nie sprzeciwię, możesz być o to spokojną... ale uczyni to dla mnie, nie mów na niego!

Żacka wzruszyła ramionami, niespokojnym rzutem oka zmierzyła córkę.

— Nie nie powiem więcej, — dodała — ale zmiłuj się Justysiu droga, pracuj nad sobą, żebyś zbyt o tem nie myślała; z góry ci mówię, że to niepodobieństwo!

Znowu łzy błysły i wstrzymała się matka, ale kaszel jej wzmógł się nagle, gdy Stanisław bardzo w porę wpadł z wodą i kroplami.

— A co? pani coś gorzej widzę! — rzekł potrząsając głową.

— Widzisz Stanisławie.

— Oj widzę, widzę i język mi świerzbi...

Rozśmiała się zlekka pani Sędzina.

— To pozwól-że sobie, mój stary przyjacielu.

— Prawdę powiedziałwszy wielką mam ochotę, ale...

— Ale cóż?

— Boję się żeby to gadulstwo gorzej pani nie zaszkodziło.

— Gorzej mi już nie będzie, mów pocziwy Stanisławie.

— Powiem pani, powiem pani... — począł stary, ale nie miał siły dokończyć. — E! dajmy dziś temu pokój, niech to będzie na potem. Ot, wolałbym się dowiedzieć, co to pani zaszkodziło, od czego to pani gorzej? Czyżby przejażdżka?

— Ale nie...

— Cóż? goście?

Kiwnęła głową.

— Ba! zaraz bo sobie pomyślałem; ale nie byliż to tacy niemili i męczący goście proszę pani.

— A! i ty za nimi, przeciwko mnie.

— Uchowaj Chryste Jezu! Kiedyżbym ja mógł być

przeciwko drogiej mojej pani! Ale Bogiem a prawdą, cóż im zarzucić?

— A! Derewiański nieznośny!

Stary głową pokiwał.

— Nieboszczyk nasz anioł bardzo go szanował, to człowiek pocziwy!

— Ale język!

— No, kolący, słowa nie ma; ale to się i gorszym trafia a wybacza, cóż dopiero jemu?

— A Bolesław?

— Doprawdy, nie wiem coby można mieć przeciwko niemu!

— Nudny, mój Stanisławie!

— Hm! może on panię i nudzi; ale jak innych, to i bawi nawet.

— Zawsze w obłokach.

— E! umie on i po ziemi chodzić!

Pani Żacka zamilkła, Stanisławowi trudniej się już było powstrzymać.

— Dobry chłopiec; mnie on nawet czegoś mego nieboszczyka anioła trochę przypomina.

— Zmiłuj że się.

— Wiedziałem że pani tak powie; ale taki coś jest, coś jest; nie wiem, w głosie, w chodzie, w mowie, bo nie w twarzy. I tak grzeczny i tak dobry jak on, i czegoś mu z oczów patrzy pocziwie.

Żacka ruszyła ramionami.

— To już dzikie przywidzenie.

— Że pocziwy pani, to już pewna, najlepszy słyszę syn dla matki, i jakaż to matka! W domu gdyby w gniazdeczku gołębiem.

— Albożes tam był?

Stanisław mocno się zmieszał.

— A byłem, — rzekł zakłopotany wytłumaczeniem się — byłem.

— Ty? tam? kiedy? po co?

— Prostym przypadkiem. Kilka tygodni temu będzie, jechałem jakoś późno z miasteczka i pobłądziłem w lesie. Jedziemy, jedziemy — nic; tylko w borze drożyn bez liku i ani się z nich wyplatać. Ożyna co mnie powoził, już począł myśleć że nas licho wodzi; a to był prosty przypadek. Już nie wiem jakieśmy tam długo błakali się w lesie, aż widzę wioskę przed sobą, poznaję Kluki. Poczynąło zmierzchać, koniska się pomeczyły, nie ma sposobu, nocuj. Karczma jak figa, ani wózka zatoczyć, ani konia postawić; bieduję, aż widzę ktoś konno pędzi... Patrzę, a to on...

Pani Żacka zzymnęła się.

— Dobry wieczór, dobry wieczór! A co tu robisz panie Stanisławie? — Ot jak pan widzisz, zabłądziłem. — A zmiłuj się, przenocuj u mnie we dworze. — Jak zaczął prosić, molestować, naglić, nie było sposobu; zapręgaj Ożyna i do dworu. Konie mi wzięli, a mnie tak pocziwie jakoś, ludzko i serdecznie przyjęli, tak się ze mną obeszli, że im tego nigdy nie zapomnę. Bo że jeść i pić dali to nie wielka rzecz, ale pocziwa pani nawet o starych kościach pamiętała, materac mi przysłała, poduszkę... on sam przychodził zobaczyć, czy mi czego nie braknie.

Wówczas byłem wszędzie i widziałem przy tej zreżności dom i gospodarstwo; powiem pani że nigdzie takiego porządku, ładu, spokoju, a nawet szlacheckiego dostatku nie zdarzyło mi się zobaczyć jak tam. Wszędzie czysto jak w pokoju, wszystko na miejscu; bez

krzyku, bez wrzawy, bez zatargów, idzie robota jak w zegarku! Co to za gospodarz! co to za ojciec dla ludzi!

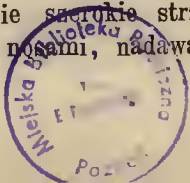
— Stanisławie! oczarował cię czy co? cóż bo ty mówisz? Materacem cię, widzę, przekupił.

— Droga pani, gdybym i na bruku był u niego spał, toż samo by było; — co prawda to prawda...

— Dajże mi już z tem pokój! — zamknęła pani Żacka. Stary spojrział na Justysię, która wdzięcznym wzrokiem zdawała mu się dziękować, i zamilkłszy, ze spuszczoną głową wyszedł powoli.

My wynijdźmy zajrzeć co się też dzieje na folwarku u państwa Boikowskich. W chwili gdy Bolesław odjeżdżał, pod niebytność gospodarza domu, zgromadzenie jednak było dosyć liczne. Samowar wcześniej kipiał w kominie, bo już się zabierano do herbaty; ekonomowa jednak nie ruszyła się nim zajmować sama, wyręczała ją służąca, dosyć niepoczesna, brzydka, bosa, ale ogromną chustką tak poobwiązywana, że jej szpetność i podrapania odzieży widać nie było. Sama pani siedziała z nóżkami na kanapie, z nieodstępną fajką w ustach, którą tylko co Motruna świeżo nałożyła i podała; bawiła się trzymając pieska na kolanach, jedną ręką sparta na poręczy, głowę przechyliwszy od niechcienia na dłoń dosyć małą i zręczną; w drugiej piastując długi cybuch pieprzowy.

Obok niej, u nóg raczej, siedział młody mężczyzna z wielkimi rozstrzępionymi włosami; był to pisarz asesora, niezmiernie dobrego tonu człowiek, co dowodziły łańcuszki którymi był obwieszony, pierścionki które nosił na palcach i szalik misternie tombakową szpilką zapięty. Wreszcie szerokie strzemiona szarawarów i buty z uciętymi nosami, nadawały mu cechę wytwor-



nego, i wynosiły nad resztę śmiertelnych, chodzących w butach wykrzywionych i szarawarach bez strzemion. Widocznie chodziło mu o podbicie serca pięknej Teresy, lub niemniej wdzięcznej Fruni, byleby coś podbił. Na krzesle, przy kanapie rozpierał się drugi mężczyzna, nie młody już, szpakowaty ale dobrze pofarbowany, bo tylko od spodu siwizna trochę odpuściła, a w górze włosy miał pysznie fioletowe; surdut jego przekonywał o pretensjach do młodości, opartych na wysokich kłębach i wciętym pasie przy szerokich plecach, wydającym się bardzo malowniczo. Twarz ogolona, dla trudności farbowania porostu który już był zsiwiał przedwcześnie, uśmiechała się figlarnie, czerwieniała wspaniale; a wargi szeroko rozwieszone nadawały jej wyraz zwierzęcy, tak, że spojrzawszy nań mimowolnie zadumać się było potrzeba, do kogo podobniejszy, do starego żydowskiego konia, czy do innego bydlęcia. Był to pan Paliba-Pokorski, niegdyś plenipotent niewiadomo czyj, dziś właściciel trzech poddanych w Ciemierówce; stary wyga który miał ze trzydzieści procesów, uchodził za bardzo zamożnego, szczególną pałał miłością ku całej płci pięknej, nawet kiedy pleć ta nie bardzo była piękną. Od niejakiemu czasu zaprzężony on został do zwycięskiej kwadrygi pani Boikowskiej i ciągnął jak mógł, zaciągając się nawet, swoją piękną tryumfatorką. Trzeci, niezmiernie skromny chłopaczek, jeszcze w studenckiej lupince, ale słuszny i pod wąsem, nie ładny ale świeży i rumiany, z oszpeconą dziwnym uśmiechem twarzą, która nim była wykrzywioną dziwacznie, z oczkami rzekłbyś zapuchłemi od śmiechu, był synem pana Sędziszewskiego, wielkim łotrem na swoje lata, i częstym gościem państwa Boikowskich. Student ten, który miał

niejaką nadzieję samą zastać gospodynię domu, bo się z jej mężem w drodze minął, zwarzony był widocznie przytomnością nieznajomych sobie współgości. Pocięszaly go jedynie rzucane nań niekiedy spojrzenia Teresy, która wierna przysłowiu, że czego nie kupować tego nie żałować, obdarzała niemi kolejno i pana pisarza, i pana Palibę, i wyrostka.

Takie było towarzystwo zgromadzone w pierwszym pokoju, gdy Frunia zawsze ładna, zawsze trzpiotowata, wpadła gdyby burza z ogromnym drzwi trzaskiem, spodziewając się może samę zastać Boikowskę, niecierpliwa oczyma dając znać, że ma coś pilnego do powiedzenia. Ale jak było ruszyć z obłożonej kanapy i rzucić towarzystwo tak miłe! Zerwał się pan pisarz ucałować rękę pięknej garderobianej, a za jego przykładem poszli pan Paliba i student. Posadzono Frunię na kanapie, rozmowa poszła żywo.

Pisarz przysiadł się gorąco do nowo przybyłej, ciągle powtarzając : — Do kroćset djabłów, jakaż ona ładna! Nu, ładna kiedy ładna!

Paliba widocznie porównywał dwie te próbki płci pięknej; student poważnie ciągnął cygaro, które go nudzić poczynąło.

O czem-że mogła być rozmowa, jeśli nie o tych co stali wyżej szczeblem w klasyfikacji społecznej, wyżej moralnie, pieniądze, znaczeniem. Niestety! nie chrześcijańskie tam uczucie wiodło sądem zgromadzonych, niechęć buchała z nich kłębami, zazdrość, gniew, wszystko tam było, prócz pobożania i miłości.

Wszystko to wszakże mówiło się w imię braterstwa i chrześcijaństwa, wedle wzorów z Żyda Tułacza i Tajemnic Paryża wziętych. Przecinały tylko to pasmo

złośliwe umizgi pisarza, śmiech konwulsyjny emancypowanego studenta, na którym każde drzwi otwarcie robiło jakieś niemiłe wrażenie, (jak gdyby ojciec wchodził z admonicją w rękę) i pocieranie czupryny z wykrzyknikami pana Paliby.

Trzeba albowiem wiedzieć, że zacny ten obywatel wyrażał się sposobem sobie tylko właściwym, oszczędnym, szybkim i pełnym najgłębszych myśli, bo do niego wszelką myśl, jaką się komu podobało, przywiązać było można. Nie mówił on nigdy całemi słowami, chyba w ostateczności; na dnie powszednie i ekspens zwykły miał wykrzyki i zgłoski różne, które mu wystarczały. To mu jeszcze bardziej zwierzęcy nadawało charakter.

Ha! ha! ha! no! no! ba! ba! to! to! sa! fe! oj! ts! pst! csyt! itp. składały jego skarbiec hieroligliczny. Jeśli go już okoliczności nieprzewidziane zmusiły powiedzieć słów kilka, bąkał je na prędce, ale nie kończył nigdy, uważając za zbyteczne, urywał zwykle dodając *tego*.

Tego było jakby pieczęcią, którą kładł u spodu wszelkiej swojej mowy, i koniecznym jej finałem.

— O! już to nie ma co mówić, — odezwała się sama pani, — iż panowie żyją bez żadnej wiary, bez żadnej moralności; zepsucie okropne, choć po wierzchu go nie znać!

— O! jaka to prawda! — powtórzyła Frunia, która więcej zwykła była mówić oczyma i śmiechem, niż ustami i słowy.

— Nadzwyczajna prawda! — dodał pisarz ujmując Frunię za rękę.

— Prawda, — echem wybąknął spluwając od cygara

student i cofając się, bo w tej chwili drzwi otworzyła Motruna.

— Ha! ha!... tego — zapieczętował pan Paliba. — O! o! tego!

— Przejść całe sąsiedztwo, — kończyła gospodyni — zajrzeć do ich domów, włosy powstają na głowie...

Paliba machinalnie wziął się za farbowaną czuprynę, którą potarł jakby próbując czy nie powstała.

— Wszędzie trąd, zgnilizna, egoizm...

— Nadewszystko egoizm, — rzekł pisarz — korca owsa dla koni nie dostać!

Paliba wykrzyknął tylko:

— Ha! ha! tak! tego...

Frunia patrzyła na studenta, i dla tego młody pan Sędziszewski nie potwierdził zdania gospodyni; szukał on znaczenia tego wzroku i kombinował w myśli wszystkie sygnifikacje niewielkiej ilości wejrzeń jakie spotkał, chcąc usilnie dojść co mu też mówiła Frunia. Trudno było odgadnąć, bo czułe wejrzenie mówiło tylko: — Cóż to za dryląg! ale to syn pana Sędziszewskiego! gdyby się też ożenił!

Rozmowa toczyła się dalej, a głos z kanapy jak z trójnoga kończył.

— Wszystko to przepowiada nową epokę...

— O jakiej to epoce mowa? — spytał ciekawie pisarz. Paliba żywo mu wytłumaczył!

— Ot... tego, — kiwnął głową i zamilkł.

— Aha! — zamruczał pisarz, chcąc uchodzić za domyslnego.

— Epoka postępu i duch wieku!... — począł nagle student, chcąc zrobić wielkie wrażenie wyrazami, które jak uważał zawsze budziły uwagę i podziwienie, i wzru-

szały do głębi najwięcej tych, co ich nie rozumieli.

— Właśnieś mi pan te szczytne wyrazy z ust wyjął!— przerwała czule spoglądając pani domu... Student rozpiął jeden guzik, jakby go otrzymane zwycięstwo dusiło i piersi jego gniotło; Frunia spojrzała na niego z podziwieniem, Paliba kiwnął głową, potarł włosy i czując potrzebę zawyrokowania, odezwał się stanowczo :

— Ba ! ba !... tego !

W tym rodzaju rozmowa toczyła się niezmiernie długo, ale stenografować jej braknie nam cierpliwości.

Pisarz, pomimo nęcących wdzięków dwóch bóstw, musiał odjechać po pierwszej szklance herbaty, którą na ten raz pił bez wódki, nie chcąc drażnić skrytej swej słabości do tego pociągającego trunku. Student i pan Paliba chcieli jeden drugiego przesiedzieć, i mocno się na swych krzesłach porozpierali, ale pan Sędziszewski wkrótce przypomniał sobie ojca i jego admonicje niekiedy zbyt dobitne, a że go i cygaro w niebezpieczny i kompromitujący sposób nudziło, cofnął się. Paliba z widoczną radością uściskał odjeżdżającego, że nawet powiedział mu na drogę :

— Padam... tego ; — poczem przysunął się jeszcze bliżej do pani Boikowskiej, ale ta widząc rosnący niepokój Fruni, zbiła go z tropu zapytaniem :

— Prosiłam pana o pozwolenie mi koni do miasteczka ; mąż mój swoich nieustannie potrzebuje ; spodziewam się, że mi ich pan nie odmówisz ?

Była to jeszcze jedna słaba strona pana Paliby, że konie swe lubił, pielęgnował i cenił nadzwyczajnie ; zmieształ się więc bardzo, coś zabelkotał i wymownie rzekłszy :— A !... tak... tego... lecz... — porwał za czapkę, pożegnał się i uciekł. Rozśmiała się gospodyni.

— Widzisz Fruniu, jakim go prędko odprawiła; czuję, że mi masz coś pilnego do powiedzenia; chwala Bogu pozbyliśmy tych nieznośnych parafjanów.

— Kupe rzeczy nadzwyczaj ważnych przynoszę ci — szybko poczęła Frunia — tylko słuchaj! nadzwyczaj ważne i osobliwsze nowiny!

— Mów-że, zmiłuj się, prędko!

Frunia żywo chodziła po pokoju trzymając się za głowę i powtarzając: — Najciekawsze rzeczy, najciekawsze...

— Mów-że, proszę cię.

— Nadzwyczaj ważne...

— Zaczynaj Fruniu!

— Wystaw sobie, naprzód cud, że ja to wszystko wiem...

— Ale cóż?

— Podśluchałam...

— Ale czegoż?

— Czekał-że niech odetchnę!

— Ginę z niecierpliwości!

— Ratuj jeżeli możesz swego ulubieńca, bo źle koło niego.

— Koło kogo, proszę cię?

— Wszyscy się spiknęli na pana Alfreda... wiesz zapewne, że pan Derewiański był dzisiaj z Bolesławem i to nie darmo. Bolek pannie naszej bardzo do gustu; wiedząc o tem, przyjechał się oświadczyć...

Ekonomowa głową potrząsała. — E! nic z tego nie będzie.

— I ja wiem, że nic z tego nie będzie, ale posłuchaj tylko jak to było. Jak przyjechali, zaraz pani nasza i panienka wróciwszy z pasieki, z twarzy pokazywały, że

się już coś święci. Ale nie było sposobu podsłuchać co i jak; kilka razy podchodziłam do drzwi od sieni, zawsze mi ten Stanisław nieznosny przeszkadzał, a ja się jego gderów tak boję, że wolałam wszystkiego się wyrzec. Po obiedzie pani z tym starym wyszła do drugiego pokoju, a Kunegundę zostawili przy młodych. Tu już mnie było wygodnie, bo sobie jak u pana Boga za piecem stałam za drzwiami i słuchałam całej ich rozmowy. Derewiański prosił bardzo za Bolesławem, wychwalał go, ale pani wręcz odpowiedziała...

— No! odpowiedziała! to dobrze!

— Posłuchaj no tylko, nie tak to i dobrze. Nie udało się pani ze wszystkim; zaręczyła, że panna Justyna nie ma serca dla Bolesława, co fałsz, ja wiem, że fałsz, a Derewiański tak się uczeplił, że mu wyrobił pozwolenie bywania.

— No! mniejsza o to!

— Niekoniecznie! oni się z sobą znają i coraz będą lepiej. Ale co najgorsza, to, że na Alfreda, szczerzy lis, jak zaczął gadać, wygadywać niestworzone rzeczy...

— A! podły!

— Było tam coś i o twoim mężu i o tobie, ale tego dobrze nie dosłyszałam.

— Co? i o nas? łotr! poczekaj stary! — zawołała Boikowska — odwdzięczym my się tobie i twojemu Bolkowi... Słyszane rzeczy! na niego! na nas! Dla czegoż o nas mówił?

— Powiem ci, że jakoś tego dobrze nie zrozumiałam, bo Derewiański chodził i nos ucierał raz wraz. To wiem, że pan Alfred wiele straci u sędziny, bo takich jej nagadał rzeczy, że pani aż choruje teraz ze wzruszenia.

— Na to mój mąż, żeby to wszystko przerobił, —

zawołała ekonomowa — damy temu rady. Dziękuję ci Fruniu za pana Alfreda; on ci to zawdzięczy... Nam potrzeba radzić.

Zamyśliła się jak dyplomata nad kartą Europy, i zwolna dymek puszczając, pół-słówkami się tylko odzywała.

— Fruniu... a pewnaż ty jesteś, że nasza panna kocha się w tym chrząszczu Bolesławie?

— Nie ma wątpliwości; wozi jej książki, które ona nosi przy sobie jak relikwie. Przyjedzie, to się nagadać nie mogą; zresztą widziałam ich we dwoje to dosyć... z oczów im patrzy, że się kochają.

— A pana Alfreda?

— Źle przyjmuje, to widoczna.

— Źle, — uśmiechnęła się Teresa — a! cóż robić! — Kończyły te słowa, gdy w sieni ktoś zapytał?

— Jest pani? — a potem ciszej: — Sama?

— To on! — rzucając się do drzwi krzyknęła Teresa.

— Kto?

— Alfred!... Ruszaj Fruniu i nikomu nie mów nawet, żeś tu była; musimy się z nim naradzić.

Nie dopuszczając wejść do pokoju przybyłego, pani Boikowska narzuciła na siebie mantylkę i wybiegła przeciw niemu.

— Nie trzeba, żeby cię tu widzieli, — rzekła mu do ucha — jedź sobie, wyjdę gdzie wiesz i tam się rozmówimy.

— Nie ma pana Boikowskiego? — spytał głośno Alfred.

— Nie ma, pojechał.

To mówiąc wybiegł, siadł na konia i ruszył z dziedzińca.

W kwadrans potem, Teresa wysunęła się pod pozorem przechadzki po za ogrody i poszła ścieżką ku lasowi. Tu u brzegu zarośli czekał na nią przechadzając się Alfred.

— Czegożeś mnie tak odprawila? — spytał — czy się już męża boisz?

Ruszyła ramionami. — Nie chcę, żebyś bywał widocznie u nas, bo to może popsuć wszystko. Wiele rzeczy mam ci do powiedzenia. Siadaj, słuchaj, nie przerywaj mi i nie trać serca; musiny na swoim postawić.

Tu opowiedziała mu wszystko, co zaszło dnia tego i odmalowała nową przeszkodę, której powodem być musiał obraz przez Derewiańskiego skreślony.

Alfred z zaciętą wargą, z zagryzionym wąsem siedział gniewny, drąc chustkę od nosa.

— Ale to wszystko nic, — zawołała Boikowska — naprzód mój mąż potrafi sędzinę znowu na twoją stronę nakłonić; gdyby się to nie powiodło... ha! to potrzeba śmiało działać!

— Ale jak?

— Ja mam już cały plan w głowie, zdaje mi się, że najlepszy.

— Mów-że!

— Potrzeba pannę wykraść.

— Cóż? chyba gwałtem, kiedy, jak mówisz, i panna przeciwko mnie?

— Gwałtem, nie! byłoby to niebezpieczne... ale są sposoby! — zamyślając się dodała Teresa.

— Naprzykład?

— Chcesz się ożenić koniecznie?

— Muszę! — zawołał Alfred z wybuchem — muszę, jeśli się tu nie ożenię, przepadłem. Rachowałem na to

i rachuję... Jakiemi bądź środkami, bylebym się ożenił, o to mi tylko idzie.

— Chodźmyż powoli, ja zbiorę myśli i powiem ci wszystko — szepnęła Boikowska — boję się podsłuchania. Usłuż nam to, co miało szkodzić; właśnie najlepiej, że się panna kocha w Bolku.

— Ale to fałsz!

— Owszem, chcę, żeby tak było i tak jest.

— Cóż z tego dla mnie możesz wywnąć?

— Wszystko...

— Nie pojmuję wcale!

— Na to potrzeba mojej głowy — uśmiechając się zwycięsko odezwała z wyższością Teresa; — mogę powiedzieć, że mnie w tem nikt nie przepisze. Uważaj tylko dobrze: Bolesław jest nieśmiały i po staroświecku rozkochany; wiem pewnie, że do siebie nie śmieli jeszcze i karteczki napisać. Potrzeba udać list jeden, drugi, trzeci od Bolesława niby pisany. Frunia odda i dopilnuje, żeby go nie pokazała. Gdyby się to nawet stało, a panna odkryła przed matką, tem lepiej, jemu dom zamkną a rzecz uduszą. Ale wedle wszelkiego podobieństwa, tak być nie może; ona odbierze, za drugim listem odpisze. W tych listach potrzeba ją namawiać na ucieczkę z domu, na wykradzenie się. Będzie walczyć, będzie się bać Justysia, bo to wielka trusia, ale go kocha, a matka nie pozwala, pewnie da się namówić. To już Frunia dopomoże; ona będzie naszą prawą ręką. Skończy się na tem, że wykradnie się dla Bolesława, a ty ją pochwycisz i uwieziesz. Potem matka przebaczy, wykradzenie muszą ślubem zamałować i koniec... A cóż? nie dobrze?

Alfred się wzdrygnął.

— Ale to ohydna zdrada! — zawołał.

— Zdrada! — uśmiechnęła się ekonomowa — może i zdrada, ale kiedy pokazuje się, że siedm grzechów głównych, jak ten nieporównany Sue dowodzi, są tylko siedmią zpotwarzonemi cnotami, na których się ludzie nie poznali, zdrada także może być cnotą, przynajmniej czasem.

— Ale Justyna?

— Popłacze, przywyknie, z losem się zgodzi i oszukiwać cię będzie!

— Ale świat i ludzie?

— Któż tam będzie wiedział jak się to zrobiło!

Alfred stanął zamyślony.

— Nie, — rzekł — to szkaradnie! ty sobie żartujesz ze mnie.

Na twarzy Teresy szatański błysnął uśmiech; oczy jej zaiskrzyły się jak u dzikiego zwierzęcia, a rumieniec wstydu na chwilę nie oblał jej twarzy, z której życie niepocziwe starło wszelki srom i uczucie.

— Szkaradnie! — powtórzyła — nie! zachwycające! powinienes uwielbiać mój geniusz, który ci potrafił z niepowodzenia upleść pomysłość, a zamiast podziwu i podzięki, ty się wzdrygasz! Z ciebie nigdy nic nie będzie, tyś dzieciuch!

— Dzieciuchem nie jestem! — odezwał się obrażony Alfred — ale miara i granica we wszystkim... to przechodzi...

— To cię żeni.

— Ale w jaki sposób?

— Pewnie i nie chybnie, jeśli się na sposoby oglądać będziesz, nie nigdy nie zrobisz. No? jakże?

— O! to potrzebuje namysłu.

Ruszyła ramionami kobieta.

— Zatem dobranoc ci, myśl i rób sobie co chcesz.

— Czekaj Tereso, czekaj, pomówmy; w twoim dziwnym planie są rzeczy nie do spełnienia.

— Cóż przecie? — niecierpliwie zawołała kobieta.

— Ona listom nie uwierzy, nie może się dać namówić na wykradzenie.

— Niech tylko myśl ta rzuconą będzie; w ostatku Frunia potrafi ją tak naprowadzić gdzie, że ci wpadnie w ręce... Powiemy jej, że matka przebaczyć musi, że to jest jedyny sposób... o to się nie troszcz.

— A jeśli się nie uda?

— Nie może się nie udać!

— Jeśli odkryją, złapią?

— Co poczniesz jeśli się nie ożenisz? — spytała pani.

— Podaję się do służby na Kaukazie.

— No! gdyby się nie udało, masz zawsze czas na Kaukaz uciekać, a inaczej się nie uda, tylko tak jak radzę. Myśl i decyduj się, bo zaczynać potrzeba.

— Dla czego sądzisz, że sędzina tak na mnie dotąd łaskawa, nie przyjęłaby, gdybym się oświadczył?

— Dla tego, że ci tu już stołka podstawili.

— Twój mąż ma na to poradzić.

— Pani uparta i bojaźliwa, jeśli się raz przelekła, nie łatwo ją teraz przekonać. Przytem Stanisław ciągle przy niej, a on ciebie nie lubi.

Alfred westchnął; była chwila, w której błoto i brudy ujrzawszy dokoła siebie, ze wstrętem wyrwać się z nich zapragnął; Teresa jak szatan wstrzymała go szyderstwem.

— Cha! cha! — rzekła — widzę, żeś daleko większy

tchórz niżelim myślała i w dodatku pełen przesądów... radź-że sobie sam.

— Słuchaj Tereso — po namyśle rzekł Alfred — tak będzie: spróbuję się oświadczyć, jeśli mnie odepchną... a... to przyjmuję twój projekt; co będzie to będzie, nie mam nic do stracenia!

— Pozwalam na to, ale z oświadczeniem nie zwlekaj.

— Pozajutro przyjadę.

Noc już była zapadła wśród rozmowy, i opatrzywszy się, że ją zbyt długo przeciągnęli, oboje żywo się rozeszli, ekonomowa na folwark, on do domu zamysłony spiesząc.

Niespodziany powrót męża, który uprzedził Teresę, zniecierpliwił ją na krótko. Boikowski czekał na nią w ganku, widocznie zły, bo łajał i bił na wszystkie strony. Zobaczywszy żonę, wstał i podbiegł ku niej.

— Gdzieżeś była?

— Gdzie?... chodziłam na przechadzkę!

— Po nocy?

— A jeśli mi się podoba, cóż masz przeciwko temu?

— Moja pani... to mnie się nie podoba... jestem przeciw mężu.

— I cóż dalej? — zimno i dumnie spytała.

— To nieprzyzwoicie!

— Dajże mi pokój! — z gniewem wybuchnęła żona — miałabym dla twojej fantazji siedzieć jak zaklęta i wędzić się w izbie... Ile razy zechcę, pójdę choćby o północy...

— To weź-że z sobą kogo.

— Na co? żeby się za mną ogon włóczył! Ja chcę być samą!

— Ale oczy ludzkie?

— Nie dbam ani o oczy, ani o języki ludzi.

Pan Boikowski mówił coraz mniej śmiało i z rozniewanego tonu przeszedł w smutny: ona coraz się bardziej zaperzać zaczynała.

Pobiegła nareszcie do izby, wołając na Motrunę, żeby jej fajkę podała, i położyła się zadasana na kanapie.

— Patrzcie, — mówiła — myśli mną kierować jak mu się podoba! myśli mi zabronić chodzić gdzie i jak chcę! O! nic z tego nie będzie.

Boikowski milczał.

— Ale tu był pan Alfred, a pani... wyszła zaraz po nim.

— Zaraz po nim i do niego, jeśli chcesz wiedzieć... tak, do niego; byliśmy razem pod laskiem...

— A! to tak! — rzucił się gniewnie mąż. — Tak! pani się nawet nie kryjesz?

— Nie kryję się, patrzcie! Ja temu próżniakowi robię interesa, a on mi się wywdzięcza wyrzutami.

— Interesa! możnaby je robić inaczej! nie w lesie po nocy!

Teresa zamilkła, wzięła podaną fajkę i kazała przynieść świecę.

On chodził i mruczał; trwało to może ćwierć godziny; wreszcie zbliżył się, stanął i rzekł:

— No, wytłumacz-że mi się.

— Nie mam ci się z czego tłumaczyć; robię i robić będę co chcę...

— Ale cóż to była za ważna narada?

— Nie wart jesteś, ciasna głowo, żebym i o tem mówiła.

— Tereniu kochana! — odezwał się prosząc ekonom

— Jest!... już moja Tereniu!... A! idź sobie precz Michale; nie wart jesteś takiej żony jak ja...

Rozmową cichą, potem szeptami skończyło się wszystko dosyć późno, i małżeństwo rozeszło się w najlepszej zgodzie i harmoniji.

IX.

Intryg ciąg dalszy.

Przy Zapadni, którą już w początku tej powieści poznaliśmy, stała bryczka pana Alfreda Kalanki i jego kozacy; pana nie było widać; słudzy spiesźnie łykali kryjomo wyniesioną im wódkę, a Jagoda niedopalone cygaro u fajki Zabijaki rozżarzywszy, dym chciwie pociągał.

Oba jednak, pomimo dymu i wódki, któremi się raczyli, mieli miny nie wesołe, jakby na nich strapienie pana się obijało. Zmora siedział opodal trochę na kłódzie, smalił także swój bakun z drewnianego cybuszka, i czynił zajmujące uwagi nad przyjezdnymi, powozem i uprzężą. Obok niego spoczywała siekiera, godło jego zajęć, bardzo jednak rzadko zajęte.

Zmora tak mówił do siebie:

— Patrzcie! postronki jak u chłopca! a toż bryczka pańska i malowana... to nieładnie! ludzie poprzebierani w tak szerokie szarawary! coby to z nich było worków! a gdyby w te worki nasypać zboża, to zboże zanieść na targ i sprzedać! Uśmiechnął się Zmora...

No... i pójść do Juchima z temi pieniędzmi... byłoby się za co poweselić...

Te i tym podobne rachunki i spostrzeżenia zajmowały stróża, który umiając myśli zajęcie przenosić nad ruch ciała, całkiem się mu oddawał; tymczasem pan Alfred, właściciel bryczki i koni, przechadzał się żywo w oddaleniu po piaskach, widocznie smutny i wzruszony... Juchim, znawca ludzi, wpatrywał się w niego zdaleka i mówił do Suro:

— Gdyby to był handlarz, myślałbym, że rachuje ile zyska... ale on nie taki człowiek, o czym-że tak może rozmyślać chodząc pod sosnami? Na kogoż czeka? A! otoż i Boikowski konno. Suro! Suro!

— Hm?—lakonicznie wstrzymując się w wiekuistym przechodzie spytała go żona.

— Wszak to on czekał na Boikowskiego?

— A nu?

— Coś oni z sobą mają te dwa łotry!

Sura już była poszła w dalszą wędrówkę żywota, którą odbywała na niewygodnych drepcząc pantoflach. Juchim tak dalej rozważał:

— Nie trudno ich zgadnąć: Boikowski myśli mu pannę sprzedać, nie udaje się we dworze zwąchać. Knują coś za dworem. Nie dobra to sprawa... dość mamy ekonomia, cóż gdy nam jeszcze taki pan przybędzie... I tej starej pani szkoda! Żle! Juchimie! Nam także potrzeba radzić, żeby się jakie głupstwo nie zrobiło pod nosem. Ale jak tu się dowiedzieć, co oni szachrują, a podsłuchiwać niebezpiecznie.

Podchodził Juchim trochę, wziął czapkę, zawahał się i powiesił ją na kołku; podparł się w oknie i dumał jeszcze.

— Widać, że sobie Zapadnię obrali na swoje narady nie pierwsza to już, nie ostatnia; drugi raz będę wiedział co począć, teraz potrzeba dać pokój.

Oka jednak z nich nie spuścił, usiłując wybadać wejrzeniem czego nie mógł uchem. Widocznie pan Alfred był silnie rozogniony i wzruszony, bo wywijał rękoma, zastanawiał się, rzucał i chodził, brał za włosy, przyskakiwał do ekonoma i zdawał się zarazem zniecierpliwiony, zły i zapalczywy. Boikowski z założonemi w tył rękoma, to na niego spoglądał gdy mówił, to go brał za rękę i coś mu podszeptował, jakby go przekonywał.

Podsluchajmy ciekawych zwierzeń tych panów.

Za ukazaniem się ekonoma, Alfred przybliżył się żywo do niego i zawołał:

— Domyślasz się już, domyślasz zapewne; dostałem stanowczą i wyraźną odmowę... ot coś zrobił!

— Juściż pewnie nie ja tego chciałem i nie jam to zrobił — rzekł zsiadając z konia ekonom; — ale ten przekłety Derewiański i Stanisław, którego pan nie umiałeś ująć.

— A jakim go miał ujmować? tańcować przed nim czy co? dawałem mu pieniędzy, nie wziął; w ręce go całować nie będę. Mówileś przecie, że masz taką przewagę nad panią, czemużeś jej lepiej nie usposobił?

— Nie żałowałem perswazji, ale to się wszystko rozbiło, ja nie wiem o co. Pani zmieniona, nawet dla mnie samego zimna, rozkazująca; o panu i mówić nic nie dała. Zaraz w początku zaparła mi usta tem: o panu Alfredzie proszę mi nie mówić.

— O! srogo, srogo się pomszczę! — zawołał chodząc i śmiejąc się Kalanka — choćbym miał zginać sam; i na tym młokosie, i na tym starcu, i na wszystkich.

— Ale cóż? jak to było? — spytał ekonom.

— Jak? co ci o tem wiedzieć; dość, że mi jasno i wyraźnie odmówiła, a nawet dała uczuć, żebym przestał bywać w jej domu. Nie przestąpi progu waszego nogą moją, chyba po zemstę, chyba na pohafśnienie wasze... Mówiła ci co żona?

— Przyznam się panu, że choć bardzo mojej żonie wierzę — rzekł z wahaniem ekonom — ale to jest rzecz tak niebezpieczna...

Alfred stanął i rozśmiał się.

— Musi tak być! — krzyknął — ona jedna z nas ma głowę i radę na wszystko. Tak zrobię! Powiedz jej niech list poszle, niech wszystko gotuje, a z mojej strony porobię przygotowania... Księdza nawet zamówię. Ta baba i dziewczyna poznają komu śmiały odmówić.

— A jeśli się nie uda? — cicho szepnął Boikowski.

— No! to zawsze czas sobie i jeszcze komu będzie trzeba, w łeb wypalić.

Ekonom pobladł, a widząc gwałtowne wzruszenie, wzmagające się w Alfredzie, począł się już cofać; ten go zatrzymał.

— Jutro wieczorem będę u was — rzekł — naradzimy się o wszystkim; teraz do domu! pamiętaj, żebyś mnie nie zdradził, dam ci na lat trzy, na cztery, na sześć lat Otręby, ale ona musi być moją, jakimkolwiek sposobem... musi! Muszę im pokazać, kto jestem! i jak się umiem pomścić.

To rzekłszy pobiegł szybko do bryczki, rzucił się w nią raczej niż siadł i pojechał cwałem do domu. Boikowski pozostał, konia trzymając za uzdę, kłopotliwie zamyślony.

— Sęka! — rzekł do siebie jadąc powoli — nie ma

radę! poczęło się, trzeba kończyć; ale to niebezpieczny interes. Teresa mnie w niego uplatała, może być i źle. Otręby na lat sześć gratka dobra, dorobiłbym się majątku, bo chłopci zamożni i ziemia dobra, choć gospodarstwo zapuszczone... dobry kasek! ha! Teresy w tem głowa! Byle tylko pannę porwać, muszą ją potem wydać za niego i kto inny jej już nie weźmie; wstyd, plama... pożenią, przyduszą i koniec. Kiedy ginąć to ginąć, a padać to z dobrego konia. Jeszcze powiedział na lat sześć... i dodał podobno: co zechcesz! Może utarguję na dziedzictwo! wówczas niech żyje pan Boikowski obywatel, dziedzic i tylko co nie widać podsędek! Trzeba szczęścia próbować, wszak to i chłopci mówią: nie wzięwszy na duszę, nie będziesz miał w duszy...

Głos nagle blisko niego odzywający się rozbudził go z tych marzeń; ujrzał przed sobą żebraka, który z lasu ciągnął i pozdrowił go zwykłym: — Niech będzie pochwalony. — Przeląkł się pan Boikowski.

— Coś za jeden? co tu robisz? — zawołał impetycznie.

— Ja! a to wielmożny pan, słowo honoru, widzę nie poznał mnie! wszakżem miał szczęście...

— To ty Janie! co ty tu robisz?

— Przechadzam się wielmożny panie; czas i pora śliczna; przytem proszony jestem od przyjaciółki mojej Moszkowej (to dobra kobieta), żebym zaniósł kartelusik do Juchima; nie mogłem odmówić choć o kuli, gdyż Moszkowę lubię... słowo honoru...

— Oj! aż nadto ją lubisz...

— Nie można nadto kochać bliźniego! — sentencjonalnie rzekł Jan.

— A żyd to tobie bliźni?

— Cóż na to poradzić! takie prawo! Nie tylko żyd bliźni, ale żydówka bliźnia, a żydzięta bliźnięta...

Boikowski choć ponury rozśmiał się.

— Nie potrzymałbyś mi konia — rzekł — do wsia-
dania.

— Gdybyć wielmożny pan chciał mieć wzgląd na mój stan i wspomógł mnie, szczególnie na buty, których od dawna nie mogę sobie kupić, bo mi pieniądze giną, odważyłbym się do tego konia przystąpić...

— Cóż kiedy przepijesz co ci dam!

— Ja! panie! Ja! — wymówił Jan z takim oburzeniem i zgrozą, że ekonom znając go, znowu rozśmiać się musiał i wprawiony w lepszy humor, zdobył się na dziesięć groszy.

Jan obejrzał datek, wziął go w zęby, potrzymał konia, którego ekonom dosiadł zrećźnie, uklonił mu się i Boikowski polecał.

Pijak weselszem poglądając nieco okiem na kar-
czemkę, dążył ku niej podśpiewując i machając kijem.

— O to szelmów żydów z mańki zażyję! — mówił do siebie — naprzód mi wódki dać muszą i sporo... potem dzieiátkę im moją pokażę i sprawię sobie bankiet na wieczór; w ostatku nie wezmę odpowiedzi, póki mi z rana co nie dadzą. Nie będę miał skrupułu, nie mieli i oni litości! antychrysty!

— Jest Juchim? — spytał we drzwiach wchodząc zamaszysto.

— Nu, nu! a jak jest to co? — rzekł żyd szydersko mierząc go oczyma.

— Mam do ciebie karteczkę romansową od pani Moszkowej, o skóry co to wiesz... ale Moszkowa zgodziła się ze mną trzy kieliszki, naprzód dawaj wódkę...

— A gdzie karteczka?

— Jest, ale nie dam póki nie wypiję; uchodziłem się za waszą sprawą...

Juchim zmierzył go od stóp do głowy.

— A jak kłamiesz? — spytał.

— Nie wierzysz? to nie dawaj wódki, nie oddam kartki.

Zawołano Surę i wkrótce przypuszczony do flaszki, Jan z rozkoszą i cmokaniem wychylił swoje trzy kielichy, jeden po drugim. Zmora zazdrośnie na niego poglądał, a bardziej jeszcze Naścia, której się nawet głębokie wyrwało westchnienie.

W tem, gdy Jan usta ocierał i kartelusika szukał, zbliżył się do niego z nienacka Juchim i rzucając ramieniem rzekł z cicha:

— Ja ci dam jeszcze trzy kieliszki, tylko mi powiedz, co oni tam z sobą gadali?

Jan pobladł i cofnął się.

— Co? kto? gdzie?

— Nu! udawaj zdrów! nibym ja ciebie nie widział, jakieś podsłuchiwał z za krzaka!

— Ja? kogo?

— A wej! gadaj, a nie, to Boikowski wiedzieć będzie...

Jan poskrobał się w głowę.

— Żydku kochanku — rzekł — bardzo lubię wódkę, to prawda, to nawet poniekąd mnie gubi; ale żebym za kieliszek miał być donosicielem twoim, z tego nie będzie.

— Nu! a pół kwarty? — kusił żyd.

— Ani nawet.

— A kwartę!

Zastanowił się Jan: — Daj garniec — rzekł po cichu.

— Dam garniec.

— Postaw mi go tutaj! — filuternie dodał żebrak.

Sura, na którą kiwnął, nalala i postawiła na stole, objął go rękami Jan i z iskrzącymi oczyma począł szybko:

— Nie bardzom ja dobrze słyszał o co się tam oni sprzeczali... Pan sam mówił, że mu ktoś czegoś odmówił, że musi mieć, kat wie co, że się pomści. Boikowski tchórzył, a jutro wieczorem postanowili zjechać się na folwarku.

Żyd podumał.

— No! — rzekł — pij swój garniec, nie odbiorę ci go choć mi wszystkiego nie chcesz powiedzieć; ale jutro rano jeśli się nie zalejesz, idź do pana Stanisława do dworu i jemu wszystko a wszystko co słyszałeś, opowiedz. Rozumiesz?

— Do Stanisława Skiby! Nie pójdę do tego człowieka — rzekł heroicznie żebrak — słowo honoru, jest to dusza niska, żałuje mi kieliszka...

— Pójdiesz i powiesz mu, da ci za to nie jeden.

— Ręczysz za niego?

— Ręcę, jak nie on to ja. Tylko dobrze zapamiętaj coś słyszał, i powiedz mu lepiej niż mnie.

Jan zniecierpliwiony gawędą, która go odrywała od garnea, chwycił naczynie i poniósł do pierwszej izby. Powąchał wódki i postawił ją.

— Samemu pić — rzekł w duchu — dobrze jest, bo się więcej wypije, ale smutno... Słuchaj Zmoro i ty Naściu, choć jesteście chlopi a ja szlachcie, chodźcie i siadajcie ze mną; ja częstuję, znajcie pana! Suro! niema djablico, dawaj chleba i soli, zapłacę.

Zmora z fajką i Naścia z kądzielą przybliżyli się

nie bez uszanowania, do stołu żebraka i bankiet się rozpoczął, a Jan podlegnięty wódką, w długie się zapuścił opowiadania o djablach, które dopiero późno w nocy zakończył upadając pod ławę.

Nazajutrz rano, Stanisław wedle zwyczaju swego, z pacierzem codziennym szedł do ogrodu. W końcu jego była darniowa ławka, od której przez sploty gałęzi widać było krzyż nad drogą; tu on zwykle w lecie siadał odmawiać długie godzinki i litanje swoje, nim powstawali państwo i zapotrzebować go mogli. Już się było słońce podniosło i dopiekać poczynalo, gdy drogą ujrzał żywo bardzo idącego ku sobie Jana. Modlitwa była skończona, dumanie ledwie poczęte, wstał i uśmiechając się zapytał:

— A przecieżeś tu nigdy być nie miał?

— Nie byłbym, ale jestem przysłany — dumnie odparł Jan.

— Od kogo?

— Od Juchima.

Tu opowiedział starcowi zdarzenie wczorajsze i urywki rozmowy, które mu pijaństwo spamiętać dozwoliło; ale z tego wszystkiego prócz stosunku Alfreda z Boikowskimi i jakiegoś knucia, nie wysnuć nie było można. Pobladł stary sługa i w pierwszej chwili rzucił się pędem ku dworowi, ale się rychło opamiętał i począł zimniej obmyślać co począć... Stanisław z mowy żebraka nic pewnego i stanowczego nie mógł wywnioskować; musiał się starać o nowe objaśnienia, bo na nich chciał coś zbudować.

Im niebezpieczeństwo zagrażające mniej jest poznane, im mniej objąć je możemy, tem większy strach wzbudza. Stanisław byłby się może tak bardzo nie uląkł, wiedząc

o szalonych zamiarach Kalanki; nie mogąc ich dojść, przeraził się ogromnie. W pierwszej chwili chciał biedz do pani, powiedzieć jej wszystko, wypędzić Boikowskiego; ale miałże słabą kobietę nastraszyć, nie wiedząc sam dobrze co groziło? Rozwaga kazała się wstrzymać i siedzieć.

Żebrek już się był usunął do kuchni, a Stanisław myślał i myślał co robić. Podśłuchy tajemne były dla niego niepodobieństwem; wiek i uczucie godności własnej odwodziły go od nich. Mógł walczyć otwarcie, nie potrafił śledzić zdradliwie. Powstał z modlitwą w ustach, spokojniejszy nieco, Bogu ufając, postanowiwszy jakkolwiek bądź najsilniej strzedz dworu, panny, i wszystkich kroków Boikowskiego z oka nie spuszczać.

Powlókł się starzec do domu i cały ten dzień prawie zszedł mu na modlitwie, przerywanej domysłami najdziwniejszemi; ale mógłże się kto intrygi osnutej w tak dziwny i ohydny sposób domyślać?

Wieczorem chodziło mu bardzo o to, żeby się przekonać, czy pan Alfred przyjedzie do Boikowskich; musiał więc użyć do tego Jana i posadził go na straży; a około północy żebrek przyszedł z oznajmieniem, że istotnie ktoś konno po cichu przybył na folwark, i wszedł do izby ekonomowej, w której się jeszcze świeciło.

Podwoił troskliwości i straży około domu starzec, sam się przeniósł do kredensu, wziął z sobą Maćka, położył Jana w ogrodzie i oka nie zmrużył.

Wyobrazić sobie niepokój starca, który trwał i przez dni następne, podwojony jeszcze oczekiwaniem czegoś niezbadanego i pojąć co się w pocziwej jego działał duszy, trndno zaiste, bo nie wiem czy kto jak on umiał cudze dobro cenić i na cudze pracować jak na swoje.

Najniepodobniejsze do uskutecznienia zamiary chodziły mu po głowie; chciwie pragnął bliżej się dowiedzieć o knującym spisku, ale zbyt był pocziwy, zbyt wahał się w wyborze środków, by idąc prostą drogą, mógł na kryjącą się w ciemności trafić zasadzkę.

Tymczasem na wieczornej tajnej naradzie, zburzony i gniewny Alfred zgodził się już całkiem na wnioski pani Boikowskiej, tryumfującej że wnioski swoje przeprowadzi do skutku. Ona sama podjęła się ułożyć i napisać list zmyślony, a przez Frunię, którą piękny złoty łańcuszek całkiem na stronę Alfreda pozyskał, dostawczy piosnki przepisanej ręką Bolesława, obiecywała nawet udać charakter jego. Boikowski nie umiał się temu oprzeć, ale nie pochwałał wcale zuchwałego kroku, który go przerażał; czuł on całą wielkość występkę i odpowiedzialności jaka mu groziła... Strach starczył za cnotę.

Nazajutż karteczka następująca znalazła się w toalecie Justysi pod poezjami Zaleskiego:

— „Są cierpienia nad wszelką cierpliwość, na nie musimy szukać ratunku, choć przeczuwamy, że w nich nowych cierpień może być niebezpieczeństwo. Nie zlitujesz się nademną ani nawet słowem odpowiedzi? Przebac mi pani zuchwalstwo, popełniłem je w chwili szału... O! gdybyś miała tyle litości w duszy, ile ja rozpaczy?

B...“

Głupi ten liścik kosztował Teresę całodzienną pracę; układała go mozolnie razy kilka coraz inaczej; nie udawał się jej, wreszcie przepisała go ze starego jakiegoś romansu, starannie wyśledowała charakter, do czego miała prawdziwy talent, i złożywwszy oddała

Fruni, nie bez niespokojności oczekując skutków pierwszego kroku, bo ten stanować miał o wszystkich następstwach.

Wieczorem Justysia przyszedłszy się rozbierać, znalazła zwitek pod książką; nie domyślała się co znaczył, wzięła go w początku za jakąś zapomnianą modlitewkę, a wyczytawszy pierwsze wyrazy, pobladła i krzyknęła.

Służąca rozbierała ją właśnie; odwróciła się do niej cała sploniona, drżąc z zapytaniem:

— Co to jest?

— Nie wiem, pani.

— Kto tu położył ten papier?

Frunia surowością pytania przelekła, coraz bardziej tracąc przytomność, spuszczać głowę, powtórzyła raz jeszcze: — Doprawdy, nie wiem pani; nikt tu nie chodził prócz mnie i Stanisława, a ja o niczem nie wiem.

— Nie ty położyłaś tu tę karteczkę?

— Czyż jabym śmiała? proszę pani... ja ani wiem... ale cóż to jest?

Justysia, widząc tak stanowczo zapierającą się służącą żywo schowała papier; pomyślała, że to być może nierozważnym krokiem starego sługi, bo wiedziała jak Bolka kochał; przykre to na niej zrobiło wrażenie, przstraszyło ją, ale nie powiedziała więcej, bo że Stanisław położył tę kartkę, to już niejako w jej oczach krok dziwny, nieuważny, czyniło tylko zbyt śmiałym, ale nie występny.

Poczęła rozmyślać, westchnęła, odczytała list raz jeszcze; nie poznaje w nim Bolka, i zbliżywszy do świecy spaliła go, postanowiwszy nie odpowiadać, a Stanisławowi ani matce o tem nie wspominać. Frunia, krzając się koło swej pani widziała wszystko,

wyczytała w jej oczach przestrach, gniew, obrazę, boleść, rozagę, niepokój, i w pierwszej chwili popłochu rzekła się dalszej służby dla pana Alfreda. Ale w miarę jak Justysia ochłonywała z wzruszenia, otrząsała się z nczucia podbudzonego, Frnnia widząc, że niebezpieczeństwo mijało, nabrała po troszę odwagi.

— To dobrze! — zawołała w duchu — na pierwszy raz mnsiała się strapić, nastraszyć, pewnie nawet nie odpisze; ale spaliła... widać że nic Stanisławowi nie powie. Za drugą karteczką oswoi się i wszystko już pójdzie dobrze.

Justysia klękała do pacierza z bijącym jeszcze sercem i rozognioną marzeniem głową, gdy Frunia porwawszy jej snkie, ostatnie na nią rzuciwszy wejrzenie, wybiegła chyżo zdać sprawę spółnicze ze spełnionego zlecenia.

Teresa czekała na nią w ogrodzie.

— A cóż? a co?

— A! bylam w strachu okropnym i panienka srogo mnie pytać poczęła, rozgniewała się...

— Rozgniewała! o! to źle, ale nie zanosła do matki?

— Nie.

— No! to wygrana nasza; w drngim liście wspomni się pierwszy, to drugiego już pokazać nie będzie mogła.

— Ale ja, broniąc siebie, musiałam jej dać do zrozumienia, że to chyba podrzucił Stanisław.

— O! jakieś zręczna! doprawdy, jużem się takiego wykrętu paradnego po tobie nie spodziewała, przepysznie! doskonale! I cóż zrobiła z karteczką?

— Spaliła ją.

— Przeczytawszy?

— Dwa razy.

— Jakże była, smutna czy rozgniewana?

— Niespokojna i poruszona, a z początku gniewała się dobrze.

— To naturalnie; pierwszy taki list, który w życiu odbiera kobieta, musi niepokoić, a zatem wszystko prześlicznie.

— A! a! ja jeszcze drżę.

— Widać Fruniu, żeś w pierwszym polu jeszcze — rozśmiała się ekonomowa. — O! niebój się, ostrzelasz się potem; dziecko z ciebie, chodź do mnie naraźmy się co robić.

Pobiegły na folwark; w tejże samej chwili Stanisław z rożañcem nadszedł, dwór i ogród wedle zwyczaju oglądając; posłyszał głosy kobiece, dotarł do furtki, ale w ciemności nikogo dojrzeć nie mógł. Nie smakowały mu te nocne wycieczki, pokręcił głową, postanowił pilnować się baczniej jeszcze koło domu i wziąwszy pod swe rozkazy Maćka z Janem, długo spać się nie kładł, żeby dojsć kto z folwarku będzie powracał. Ale Jan i Maciek prześlepili przemykającą się Frunię, a Stanisław był z drugiej strony, gdy do garderoby wpadła i cicho omackiem rozebrawszy się, do łóżka wskoczyła.

Dzień następny postanowiono przeczekać, dobrze uważając, jaki skutek na panience zrobi podrzucony listek. Frunia kręciła się koło niej od rana, czytając w jej oczach, odgadując myśli. Justysia była tylko smutna i zamyślona. Stanisławowi, który wedle zwyczaju przyszedł jej powiedzieć dzień dobry i posprzątać w jej pokoju, pierwszy raz w życiu odwróciwszy się od niego, odpowiedziała tak sucho, z tak widoczną niechęcią, że starzec popatrzywszy na nią długo, stanął osłupiały na miejscu, i wyszedł ze łzami w oczach.

— O mój Boże — rzekł, rzucając szcztokę w krendisie — cóżem ja nieszczęśliwy mógł mojemu dziecięciu zawinić, że ono już się odemnie odwraca? Nie! to nie może być i toby była sroga niesprawiedliwość, i za ciężki żal dla mnie... śmierć może. Wszakżem słowa jej nie powiedział? wszakżem się w niczem nie sprzeciwił?

To mówiąc rozbierał napróżno wszystkie swoje czynności najdrobniejsze i winy w nich znaleźć nie mógł.

— Ha! — dodał w końcu — boleść jest zwykle niesprawiedliwą; biedne dziecko cierpi i wszystkich oskarża o to... potrzeba znieść, ona sama pomiarkuje, jak mnie pokrzywdziła.

Wieczorem gotował się Stanisław do przechadzki z Justysią wedle zwyczaju, i pierwszy raz dano mu znać, że panna pójdzie sama z Frunią.

Ta wiadomość razila go jak piorun i przestraszyła niewymownie; zadrżał, zastanawiał się, potoczył obłąkanemi oczyma, załamał ręce i upadł na krzesło wołając:

— Co to jest? co to się stało?

Chwila rozmysłu dodała mu odwagi.

— Chcesz czy nie chcesz, pójdzie za tobą Stanisław choć z daleka — rzekł do siebie — nie bardzo ja wierzę temu trzpiotowi Fruni; powlokę się za niemi tak, żeby mnie nie widziały.

Jak powiedział tak zrobił, i kryjąc się za płotami, za krzewami, za domostwy, wywłókł się smutny za swym dziecięciem, z sercem pełnem trwogi i żalu.

Frunia tymczasem korzystała ze swego niespodziewanego zbliżenia do panienki; z cicha, ostrożnie, zdala poczęła mówić o Bolku. Milczała w początku Justysia, czując, że takie uczucie jak miłość nie odkrywa się

przed ładą powiernicą; — ale dała mówić dziewczynie, a ta uzuchwalona, wprowadziła ją w obojętną na pozór ale dwuznaczną rozmowę.

Stanisław, idący z daleka, nic nie słyszał, żywą jednak rozmową niepokoił się wielce i niewiem czyby był wytrwał, gdyby przechadzka nieco dłużej przeciągnęła się. Justysia sama skróciła ją i zawróciła się do domu. Stary sługa zaczął się pod pochyloną wierzbą, przepuścić swoje dziecko, i znów powoli szedł ku domowi za niemi.

Skoro wróciły, Frunia co najspieszej poleciała na folwark, donosząc jak się to szczęśliwie stało, że odtąd razem odbywać będą przechadzki, że mogą zabłądzić, że najłatwiej będzie Justysię pochwycić...

— A więc tu niema czego dłużej zwlekać — krzyknęła Boikowska. — Jutro niech Alfred stawia się wieczorem z powozem i kozakami w brzezynie pod okopami; ty pannę naprowadzisz, namówisz do przechadzki o zmroku... i...

— Jakto? tak zaraz, jutro? — spytała dziewczyna — tak nagle?...

— Do czegoż to dalej odkładać? doskonale się składa wszystko; listownie trudnoby ją było namówić, tym sposobem to samo się zrobi. Byle ona godzinę była w jego ręku, będą musieli wydać ją za niego.

Judasz-Frunia zbłądła i zawahała się.

— A moja Tereso, to tak prędko być nie może; wszak inaczej ułożyłyśmy się.

— No, a inaczej zrobimy — podchwyciła ekonomowa. — U niego wszystko być musi gotowe, dziś nocą znać mu damy; koło okopów żywej duszy nigdy nie ma, zwłaszcza o zmroku, bo ludzie utrzymują że

tam straszy; więc choćby krzyczała nikt nie posłyszysz... droga na Zapadnię także pusta... tam traktem nie tak to już daleko do Otrębów. Ale i ty z nią pojedziesz?

— I ja z nią?

— Musisz! — po namyśle zawołała z przyciskiem Teresa; — ja tak chcę i wiem dla czego... Tobie nie wypada jej opuszczać, ani się tu zostawać... Zresztą, mnie tak potrzeba, pojedziesz z nią.

— Zmiluj że się, ale nie jutro?

— Tu nie ma co odkładać; co prędzej to pewniej, właśnie dobrze kiedy Stanisław z nią nie chodzi, a to długo nie potrwa.

— Mnie się zdaje, że go dziś opodał za nami przesuwającego się widziała.

— No, to jutro pošlemy go do miasteczka. — Frunia ciągle przestraszona natarczywością ekonomowej, drżąc usiadła na kanapie i rozplakała się.

— Boże! jakież z ciebie dziecko — klaskając w dłonie krzyknęła Teresa — patrz się na mnie i ucz się! Niczego w życin obawiać się nie potrzeba, inaczej lepiej od razu do klasztoru.

— Dobrze wam mówić, ale ja tam będę.

— A cóż ci się stanie? nie o ciebie przecie chodzi.

— Gorzej daleko.

— Tak to rozumiem; wolalabyś żeby to było z tobą. No! ale tymczasem potrzeba i drugim dopomódz. Ja ręczę za pana Alfreda, że ci się potrafi odwdzieczyć i da parę tysięcy posagu.

— Bo właściwie bezemnie by nic być nie mogło — ocierając zaplakaną oczy odezwała się Frunia.

— Niezawodnie! — z szyderskim śmiechem poparła Teresa — ty zrobisz wszystko, tobie to będzie winien;

ale nie cofajże się i nie odkładajmy. Idę do męża i wyprowadzi go zaraz do Otrębów na całą noc, bo posłaniec i kartka zdradzić mogą. Nim pojedzie, trzeba żeby się postarał wprzód Stanisława wyprowadzić do miasteczka.

— Panie Michale — zawołała przez okno — chodźno tu proszę, chodź, a żywo!

— A co? — spytał.

Żona pociągnęła go do drugiego pokoiku i poczęła żywo, gorąco szeptać mu na ucho, kończąc głośniejszą:

— Zwijaj się, im prędzej skończym tem lepiej. Co ma być niech będzie zaraz!

Boikowski, choć mu to w smak nie było, rad nie rad musiał posłuchać; namyślił się trochę, pomarudził, w nadziei, że może co przeszkodzi; wreszcie, kazawszy sobie osiodłać konia, poszedł do dworu, namyślając się, jak na jutro Stanisława odprawić. Nim przeszedł sad i ogród, wynalazł środek, i śmielszym krokiem posunął się do pokoju pani, która go zimniej niż zwykle przywitała, mierzając okiem nieufnem. W twarzy poczciwej a słabej kobiety malowała się i bojaźń, jaką natchnęli ją ludzie, i nieco dawnej życzliwości, zaufania, które powrócić pragnęło.

— Cóż tam panie Boikowski? — spytała go powolnie.

— To, proszę Jaśnie pani, wynikła mi pilna potrzeba posłania do miasteczka kogo pewnego. Jaby sam pojechał, ale jutro muszę koniecznie oddać się dla dopilnowania osobiście kosarzy co na Medweźnem kosić będą, a tu po pieniądze nie mam kogo posłać. I to pilne, i to pilne...

— Jakto? czyż nie masz kogo zaufanego z gospodarzy?

— Wszystko to, z pozwoleniem jaśnie pani, hałastrą i łajdactwem; upije się, zgubić może, a to grosz nie mały... Juchim dał nam kwit na tysiąc złotych do miasteczka, do swego szwagra Icka.

— Możebyś po te pieniądze sam pozajutrze pojechał?

— Nie można pani i godziny zwlekać.

— Więc kogoż tu wyprawić?

— Może jaśnie pani poszle pana Stanisława; koło dworu nic tak pilnego nie ma, mógłby się dla potrzeby skarbowej trochę przejechać; to taki pewny i stateczny człowiek.

— Spodziewam się! z niejaką obrazą, że go chwalić śmiano w taki sposób, — przerwała wdowa. — Jednak mi żal starego za tem trząść; to nie jego rzecz.

— Wypoczywa dosyć; może też jaśnie pani posłużyć choć raz.

— Dość się też napracował — krótko odparła Żacka. — Ale waćpan jestżeś tak bardzo nad Medweźnem potrzebny?

— Już moi kosarze poszli.

— A gumieny?

— Chory, jaśnie pani.

Wdowa zamilkła.

— Spytam Stanisława i przyszlę o tem waćpanu oznajmić.

— Ja tylko jaśnie pani tę uwagę ośmielałam się jeszcze uczynić, — dokończył Boikowski — że jeśli nie poszlemy jutro, może być egzekucja...

Na sam ten wyraz, wdowa lękając się egzekucji nade wszystko, choć jej nigdy nie doświadczyła, bo zawsze

opłacała się nawet od tych, które ją spotkać nie mogły, dodała pospiesznie :

— Dobrze, dobrze, powiem Stanisławowi a pewnie pojedzie.

Boikowski, nie czekając reszty, położył papierek na stole, skłonił się żywo i odchodził.

— A waćpan kiedy jedziesz ? — spytała go już w progn odchodzącego pani Żacka.

— Zaraz, jaśnie pani, żeby do dnia być nad Medweżem.

— Na całą noc ?

— Tak jest, jaśnie pani.

Drzwi się zamknęły i wnet dziewczynka pobiegła po Stanisława do oficyn. Kłęczał on przed swoim ołtarzykiem, gdy główka kawiarnianej dziewczki ukazała się w drzwiach roztwartych i przerwała mu litanję słowy, których był przywykł słuchać całe życie :

— Panie Stanisławie, do pani !

Dokończył żywo i powstał stary, rad, że go zapotrzebowano ; ale im bardziej zbliżał się ku pokojowi, gdzie była Justysia, do której miał żal srogi i głęboki, tem więcej odstępowała go odwaga. Po tak niespodzianej zmianie ukochanego dziecięcia, które na ręku wypiastował, wszystkiego się już złego spodziewał ; jakiś niepokój nieskreślony nim miotał. Ze drżeniem otworzył i wszedł po cichu, pokornie, bojaźliwie, ze spuszczoną głową, ze wzrokiem w ziemię wbitym.

— Co pani każe ?

— Ot widzisz, mój Stanisławie, jak to się czasem ludzie na ludziach nie znają... Zawsze ku Boikowskiemu masz jakąś niechęć, a on o tobie najlepiej mówi... i nie tak opieszały jak powiadasz ; na całą noc pojechał na

Medweże; ale ciebie mój drogi chce pchnąć za interesem do miasteczka.

Stanisław uczuł, jakby go co nagle kolnęło; ta wyprawa jego do miasta tak niezwykła, tak dziwna, przy niebezpieczeństwie, którego się zawsze obawiał, przy tajemniczem z nim postępowaniu Justysi, przstraszyła go niezmiernie.

— Mnie! — wybąknął głosem drżącym.

— Tak, ciebie kochanku, bo to rzecz o pieniądze, i dosyć, jak dla mnie, znaczne a pilne; nie ma ich komu przywieźć.

Stanisław głowę spuścił jeszcze bardziej, zadumał się, coś mu mówiło wewnątrz, że w tem była zdrada. Ale cóż miał począć? Miał-że się ze swą obawą wydać i przestraszyć wdowę, nie mogąc się jej wytłumaczyć czego i czemu się obawiał?

— Więc cóż? pojedziesz, mój kochany Stanisławie? — spytała go łagodnie.

— A pojedę! — nagle myśl jakąś powziąwszy rzekł stary sługa — jak skoro pani każe, najchętniej.

— Bardzo ci dziękuję... Idź sobie zaraz spać, wypocznij, a jutro raniuteczko ruszaj i powracaj co najrychlej.

— Gdzież kwit?

— Oto leży na stole; przywieziesz mi tysiąc złotych.

W milczeniu wziął papier sługa, uklonił się i wyszedł co prędzej, by ukryć swe pomieszkowanie coraz widoczniejsze, a na pozór niczem nie spowodowane. Spiesznym krokiem ruszył do swojej izdebki, ukląkł, bo tak się zawsze gotował do każdej ważniejszej czynności, a uderzywszy się silnie w piersi kilka razy, wstał, przeszedł się, potarł czoło i zawołał Maćka.

Maciek stawiał się żywo, ocierając zatłuszczoną gębę.

— Ruszaj na folwark i spytaj kto mnie jutro do miasteczka powiezie, a prosz, żeby furmanka była do dnia.

— Zaraz panie !

Z kopyta, galopem pobiegł poświstując kuchta, rad, że miał zręczność przebiegać się trochę; po drodze wywrócił parę razy koziołka, wszystkie gałęzie wiszące nad głową pozaczepiał, każdy kamiak podrzucił, przez furtkę susem przesadził i wpadł tak na folwark, że niosącą samowar Matrunę o mało nie obalił.

Nie bawił i minuty i już na powrót z odpowiedzią spieszył, równie wesoło i równie żywo; ledwie Zdrowaś Marja miał czas zmówić stary Stanisław, już Maciek znowu stał we drzwiach.

— No, a co ?

— O! złe panu konie dają — rzekł kuchta — wszak to Wasyl Neczaj z panem ma jechać.

Stanisław głową pokiwał.

— A kazał-żeś, żeby był rano ?

— Ekonom powiedział: Ja jego tam wyganiać nie będę, bo sam z domu jadę.

Starzec wziął za kij i czapkę.

— Pójdę — rzekł zamykając izbę — rozmówię się z nim sam, tymczasem zawołaj mi Jana; powrócę zaraz, niech tu na mnie czeka.

Maćkowi bardzo pięty świerzbiały znowu tak w skokach pobiedz do sadu; ale szedł jedną drogą z panem Stanisławem, musiał się więc miarkować. Najpociśniejczy w świecie był widok tego chłopaka, który szedł wprawdzie noga za nogą, ale dla nadania sobie ruchu, potrzasał dziwaźnie niemi, ramionami ruszał, głowę podnosił i przechylał i cały był w najgwałtowniejszych

konwulsjach niecierpliwości, dopóki nie mógł minąć Stanisława. W miejscu gdzie się rozchodziły ścieżki, jak piorun rzucił się naprzód i znikł w krzakach. Starzec obrócił się tylko, domyślając co za szatau przeleciał, ruszył ramionami i szedł dalej powoli ku folwarkowi.

Już był u furtki, która na dziedzińczyk wychodziła, gdy za płotem ujrzał ekonoma siedzącego na konin, a przy nim stojącą i żegnającą go Andromakę.

Oddalili się byli widać od budynku folwarcznego, żeby ich rozmowy nie słyszano, a wpadli pod ucho starego sługi, który znęcony kilką słowy, zastanowił się.

Teresa mówiła do męża :

— Niechże się stawi zawczasu... Stanisław nie rychło powróci... nie ma się co obawiać.

— Powiem, powiem — odparł Boikowski — jeżeli go zastanę.

— Posyłaj po niego gdzie chcesz... zręczność jedyna... jutro koniecznie...

Stanisław stał jak wryty, każdy dochodzący go wyraz wbijał mu się w piersi głęboko, tkwił w sercu. Nie darmo widać chciało go wyprawić i były jakieś zamiary... ale jakie? odgadnąć było niepodobieństwem. Domyślać się mógł tylko, że odjazd jego, wyrachowany i urządzony, miał do czegoś posłużyć.

Na chwilę w głowie się zawróciło staremu Stanisławowi; nie wiedząc co się stać miało, zaradzić było tak trudno!! wszakże nie myśląc już mówić z Boikowskim, szybko cofnął się nazad do swojej izdebki, rozbierając jak miał postąpić.

— To pewna — rzekł w duchu — że ja jechać nie mogę; ale żeby źli ludzie nie wiedzieli o tem, muszę uczynić jak gdybym jechał, ukryć się na dzień cały i

nie spuszczać z oka panienki i paui. Będę czuwał. Nieźle byłoby, żeby mi kto w pomoc przybył, ale kogo tu wezwać?

Zadumany starzec doszedł tak do oficyn, a na progu zastał Jana, który w nadziei kieliszka, na pierwsze słowo Maćka przywłókł się na rozkazy pana Stanisława, wiele go już teraz szauując, bo miał sobie zapewnione owe trzy prawem przepisane kielichy, a wynalazł sposób wyrobienia sobie podstępnie dwóch jeszcze u panny Kunegundy, co stanowiło bardzo już przyzwolitą całość.

— A co tam pan rozkaże? — spytał na progu, bo nie śmiał dalej wchodzić.

— Chodź do izby i drzwi zamykaj — rzekł Stanisław poważnie.

— Jakto? do izby? — wybąknął Jan zdziwiony.

— A tak! choć mi izbę zapowietrzysz, cóż robić?... A jak się tam ma twoja noga po smarowaniu?

— Trochę lepiej, bardzo dziękuję; ale mnie szczególnie służy wódka... z mydłem.

— Ba! ba! dość masz już tej wódki we środku, nie potrzeba jej na wierzch. Czy możesz przejść choć kilka kroków bez pomocy kuli?

— Kilka kroków mogę, byle kijaszek.

— Słuchaj-że Janie — ciszej dodał Stanisław — użyję cię jako uczciwego człowieka, do bardzo ważnej sprawy, sprawy dla mnie głównej, bo tu chodzi o moją panię i o moją panienkę. Jeśli mi się dobrze sprawisz, póki życia twego będziesz miał chleba kawałek, za to ci ręczę, choćbym ci miał swój oddawać... a jeśli się upijesz...

— Wy bo mnie panie Stanisławie zawsze, zawsze posadzacie, — zawołał z żalem Jan — czyż ja już na przykład taki jestem pijak, nie przymierzając jak

Jacenty, albo Piotr... Ja kiedy wiem, że nie można, to nie można i koniec; a że czasem sobie pozwolę w kompanji...

— Tak, a nuż cię znów ten djabeł pokusi?

— Mam na to sposób; na czczo tylko zmówię pacierz i już tego dnia...

— A czemuż codzień tego nie czynisz?

— Ha! — rzekł wzdychając Jan — czasem szatan bestja mocniejszy nademnie.

— Ale jutro nie zdradzisz? nie zawiedziesz?

— Już ręczę, że się sprawię.

— Słuchaj-że dobrze: weźmiesz mój cały ubior, kule porzucisz i otuliwszy się dobrze, siądziesz na wóz, który po mnie rano zajędzie. Mnie potrzeba zostać w domu, a chcę, żeby ludzie myśleli, żem pojechał. Ty mnie masz zastąpić. Neczaj będzie miał dyspozycję zawieźć cię do miasteczka, ale ty go skierujesz za wsią do Kluków.

— Do Kluków?

— Tak jest; pojedziesz co sił w koniach, a oddawszy we dworze kartkę panu Bolesławowi, wracaj sobie choćby powoli.

— A jeślibym go nie zastał?

— To będziesz miał drugą kartkę do pana Derewiańskiego. Zrozumiałeś mnie dobrze?

— Juściż zrozumiałem — rzekł Jan — ale wierz pan czy nie, przyznać się muszę, jest coś takiego we mnie, że ja nigdy tak doskonale i czysto nie obejmę rzeczy, jak po kieliszku.

— Mój Boże, jakżeś ty bezwstydnym!

Jan uklonił się tylko; Stanisław z westchnieniem dobył butelki, nalał i począł powtarzać swoje rozpo-

rządzenia. Teraz istotnie widać było, że pijak rozumieć poczynął; bo po otarciu ust, nadzwyczaj uważnie wlepił oko w Stanisława, potrząsał i ręką i głową, potwierdzając każde jego słowo.

— W dodatku — rzekł stary — jeśliby cię kto spotkał a chciał pytać i zapraszał w gawędę choćby wódką...

— Choćby miodem — poparł Jan.

— Jedź i nie wdawaj się z nikim, ani koniom nie odpoczywaj przy karczmach.

— A jakby się bardzo zmęczyły i miało być, uchowaj Boże! jakie nieszczęście?

— Niech będzie co chce, ty nie stawaj nigdzie.

— Słowo honoru, to dosyć!

Nie mógł widać inaczej sobie poradzić Stanisław, ale używszy Jana równie był niespokojny jak wprzód; chodziło mu po głowie jego nałogowe pijaństwo, obawiał się żeby go co nie zatrzymało, i późno w noc zawołał drugiego swego pomocnika Maćka.

Maciek na rozkazy starego był zawsze w gotowości, zwłaszcza do posyłki; nagotowane już były dwie kartecki do Bolesława i Derewiańskiego; z niemi w rękę oczekiwał Skiba na kuchtę.

— Słuchaj Maćku — rzekł — sprawisz ty mi się, gdy cię do czego ważnego użyję?

— Choćby w ogień, panie!

— Ba! kuchcie to nie straszna rzecz — odparł stary — a w wodę? — spytał ze smutnym uśmiechem.

— Choćby i w wodę, jak pan każe.

— Pojedziesz mi zaraz nocką?...

— O! pojedę.

— Słuchajno wprzód; pojedziesz do Kluków. Ale... umiesz-że siedzieć na koniu?

— Prawdę powiedzieć nie jeździłem, ale bylebym siadł, to wiem, że potrzeba poganiać i trzymać za cugle, a kolanami się przyciskać...

— Jakto! tyle tylko wiesz! o niedobrze!

— Niech pan będzie spokojny, to nie trudna rzecz, ale konia, żeby tylko konia!

— Konia ci da gumieny, zaniesiesz mu znaczek ode mnie; siadziesz zaraz i na całą noc...

Maciek pochwycił kartki, a ledwie je miał w rękę, drzwiami trzasnąwszy poleciał. Ledwie go Stanisław przywołać nazad potrafił dla dodania, żeby konia tak brali, aby nikt o tem nie wiedział i nie widział; Maciek jak stał, w koszulinie, w spodniach, bez czapki, bo jej nigdy nie miał, bosy, bo z butami się nie widywał chyba zimą, pognał co najprędzej do folwarcznej stajni, wprost z tamtąd wybierając się ruszyć.

Stanisław nieco spokojniejszy w zwykły sposób spędził resztę wieczora.

Niebezpieczeństwo tak było nieokreślone, tak niedocieczone, że wzywając pomocy której potrzebę przeczuwał, Stanisław nie bardzo wiedział jak pisać; na myśl mu jakiś gwałt jednak przychodził i zażądał od Boleśława i Derewiańskiego, aby z kilkoma ludźmi uzbrojonymi przybyli.

Szcześnie dziwnem, nie mogąc ich wzywać do dworu na pewno, chciał mieć tylko w odwodzie na wypadek; prosił więc, aby ukryci pod okopami czekali na dalsze oznajmienie.

X.

Katastrofa.

Całą noc nie zmrużył oka poczciwy sługa, obawiając się ciągle choć nie wiedział czego; tak go przerażały tajemnicze wyrazy, które posłyszał u furtki, tak w nim odzywało się to niezbadane przeczucie, które jedno nie wywoła z serca poczciwego, gdy chodzi o ukochane istoty. O swej godzinie wyszedł z izdebki na ogłód około dworu; smutny przyłożył ucho do okiennicy pokojiku Justysi, i usłyszał za nią tylko śmiech pusty zalecającej się Fruni, a przy nim dźwięczną, smutną, cichą mowę swojego dziecięcia. Wszystko było w porządku, na miejscu, cisza otaczała dwór stary, nic nie zdawało się grozić mu zamąceniem spokoju... poważny księżyc twarz rozognioną ukazywał z za chmurek, nad widnokregiem rozesłanych pasami długimi... wiatr ustał i chłód wiosenny obwiewał rozgrzaną ziemię. W dali żaby skrzeczały i bocian niekiedy klekotał, jakby im groził.

I cicho było a smutno.

Przyszło powracać Stanisławowi i już się był ku swojej izdebce skierował, ale go serce nazad odwiodło; pomyślał i powiedział sobie w duchu:

— Jedna noc nie wielka rzecz, i tak nie bardzo ja spię... często mnie dusi, często parzy, że się do północka przewracam; nie wielka szkoda że przesiedzę do rana.

Tentent konia, na którym Maciek wyrwał się boczną

drożyną po nad ogrodami wiodącą, rozlegał się wśród nocnego milczenia, gdy Stanisław zasiadł na czaty naprzeciwko okna Justysi. Sam jeden? Nie... były z nim myśli o całej przeszłości, o całym jego pocziwem życiu, tej skarbnicy, z której gdy mu żywota braknie, czerpie serce zapas stary; były z nim poświęcenia dawne, miłość stara, nadzieje, bo któż ich nie miał i nie pożegnał się z niemi, i łzy i uśmiechy, i wszystko co człowiek schować może na jutro z godów wczorajszych.

Jak tam ta noc minęła przeplatana modlitwą i dumaniem, nikt nie wie; ale nie zdrzemał się starzec, a gdy po nad gęstemi drzewy ogrodu zabielało na niebie i gwiazdy topnieć poczęły w rozświeconym błękiecie, wstał tylko, by widoczne na ukryte miejsce przemienić.

Widział, jak Jan przebrany za niego wywłókł się z ogrodowej budy, i poturkotał na wozie, który dość rano przyszedł ze wsi; słyszał każdy głos, każdy ruch mieszkańców, i z ukrycia w gęstwinie szczególniejszą bacność zwracał na okno i pokoik Justysi.

Otworzyło się ono ku słońcu; znów słyhać było trzpiotowate szczebiotanie Fruni, kilka słów Justysi i urywek rozmowy ich nawet doleciał na pociechę starca do uszu jego.

— A Stanisław pojechał? — spytała.

— Pojechał już dawno — odparła Frunia; — widziałam jak szedł przez ogród i słyszałam turkot wozu.

— Biedny stary, strząsie się, tak mi go żal, taki smutny... a musiałam się z nim obejść surowo...

Frunia zagadała czemś innem, okno się przymknęło, Justysia wyszła do matki. Dzień wiekiem się wydał staremu słudze, który nie pomyślał nawet o jadle i spoczynku.

Poczuł w znużeniu nieopatrność swoją, ale nie czas już było wychodzić, boby go mogli zobaczyć ludzie, siedział więc i patrzył, trzymając się sił ostatkiem.

Całe południe zeszło cicho, długo dla niego się wlokąc; nigdzie nie wyjeżdżano, nikt nie przyjechał, pani Żacka siedziała w ganku. Justysia kilka razy przeszła się po ogrodzie, koło grządek, i powróciła do pokoju, bo upał był nieznośny. Nad wieczorem chmurki poczęły okrywać niebo, zawał wiaterek chłodniejszy, powietrze się odświeżyło... była to godzina zwykłej przechadzki, ale nikt się nie ukazywał. Stanisław tak się umieścił, że byłby mógł widzieć każdego, kto się krokiem z domu ruszył, a wysada ulicy wiodącej do dworu, otoczona krzewami żółtej akacji, dozwalała mu nawet nieznacznie wyjść za Justysią, jeśliby ona przechadzkę zamierzała.

Minęła godzina zwyczajna, i Stanisław poczynął być spokojniejszy, sądząc, że może dla skwaru i chmur nie wyjdzie jego dziecię, gdy nagle drzwi skrzypnęły i Frunia z panienką pokazały się na ganku.

— Dokąd panienka pójdzie? — spytała służąca.

— Wszystko mi jedno.

— O! to do Okopów; nigdzie nie ma kwiatków jak tam, pełno ich i prześliczne.

— Ale czy nie zapóźno, bo to kawałek drogi?

— Najśliczniejszy wieczór się zaczyna, proszę pani, i to taka odkryta droga.

Stanisław ucieszył się kierunkiem przechadzki, wspomniawszy, że Bolesławowi i Derewiańskiemu wyznaczył stanowisko pod Okopami; nie przeczuwał on nic jeszcze, ale obawiał się wszystkiego, i myśl jakimś strachem przesiąkniętą zbijał w sobie rozumując, że mu się przywidują rzeczy niepodobne. Rad był wszakże, iż

Justysia szła ku Okopom, gdzie się spodziewał posiłku.

Ona wyszła powolnie bardzo, a Stanisław oglądając się, ostrożnie, korzystając z krzaków i drzew, o kilkadziesiąt kroków postępował za nią. Szły tak z Frunią noga za nogą, że stary nie pozostał w tyle; Frunia jakby naumyślnie po drodze zbierała kwiaty, i gdy się poczęły zbliżać ku lasowi, w którym o kilkaset kroków było stare zameczysko Okopami zwane, już trochę zmierzchać zaczęło.

Jak skoro pierwsze minęły drzewa, niespokojny sługa pospieszył żeby się cokolwiek zbliżyć do swego dziecięcia; serce mu czegoś biło, głowa się zawracała, a nogi na przekór ochocie odmawiały posługi i trzęsły się znużone.

Justysia i Frunia znikły mu z oczów pod Okopem; na chwilę się zamyślił wyrzucając sobie strachy dziecinne... gdy w tem okropny, dziwny krzyk, nagle stłumiony, przeszył go jak żelazem. Stał, włosy mu się najeżyły, chciał biedz, upadł, podniósł się i poleciał z całych sił. Na zakręcie u Okopów dziwna scena, coś nakształt sennego marzenia, uderzyła jego oczy.

Do stojącego powozu jacyś ludzie, między którymi poznał Alfreda Kalankę, sadzali omdlałą Justysię; Frunia, już siedząca w nim, ciągnęła ją ku sobie.

Starzec krzyknął co miał w piersi głosu: — Ratujcie! ratujcie!... Panie Bolesławie... Ratujcie! do mnie!

I z jednym kijem, który trzymał w ręku, rzucił się sam na zgraję napastników. Wielkie było osłupienie wszystkich, gdy ujrzeni starca tego, jak widmo ukazujące się z lasu, z rozpromienioną twarzą, rozwianym siwym włosem; Frunia krzyknęła i schowała się w głąb

powozu; Justysia ciągle była omdlałą i bezwładną; rzucono ją na siedzenie.

Alfred już ją był wniósł z pomocą ludzi do kocz, gdy Stanisław, silny gniewem i rozpacz, pochwycił go za kołnier, uderzając kijem przez plecy. Wylękły ale zuchwały napastnik popchnął starca, obalił go pod koła i krzyknął na ludzi:

— Ruszaj! co koń wyskoczy! ruszaj!

Jęk tylko głuchy dał się słyszeć, gdy koła grucho-
tały nogi Stanisławowi, który konwulsyjnie się jeszcze podniósł i ręce wyciągnął, wołając ratunku niezrozumiałym głosem... Konie parsknęły, rzuciły się, i dro-
żyną ku Zapadni uniosły drogie dziecko z przed zamglonych oczów starca.

W boleści, w rozpacz, Stanisław ostatka głosu do-
bywał, a echo tylko powtarzało, jakby na szyderstwo, próżne jego wołanie:

— Ratujcie! do mnie! ratujcie!

Nie na krzyk nie odpowiedziało, Bolesława nie było.

Nie pomyślał w tej chwili pocziwy sługa o swoich nogach, które koła połamały, ani o rozbitej głowie; serce i myśl szalały, goniąc za ukochanem dziećciem.

Nikt nie przybywał, zmrok padał coraz gęstszy, co-
raz w lesie ciemniejszy; krzyk powtarzany wysiłał się na próżno. Więcej on w tej godzinie bezsilnej rozpa-
czy nie czuł boleści, niż przez całe życie; siły go opu-
szczały, nie stawało już głosu.

Wtem głuchy szmer, potem coraz wyraźniejszy tę-
tent dał się słyszeć w dali, i zbliżał się od strony Klu-
ków ku Okopowi.

— To oni! o mój Boże, weź mi życie, byłem ja oca-
lił! — zawołał stary — to oni... nie... to nie oni...

Tętent się zawraca... zbliża... stanęli.

Począł wołać znowu i głos nareszcie znany, upragniony głos zbawcy, dał się słyszeć z drugiej strony Okopów.

Minęła chwila jeszcze nim potrafiąco wynaleźć wołającego starca; on już niecierpliwy, ślady krwi znacząc, pełznął ku nim, nie mogąc powstać na nogi.

— To ty! co to jest? — zawołali razem Bolesław i Derewiański, widząc go na ziemi i straszliwie pokaleczonego.

— A! nieszczęście! — słabnącym głosem zawołał starzec — śmierć... gorzej... nieszczęście... panna Justyna porwana! Lećcie, gońcie... ratujcie! Kto w Boga wierzy! powieźli ją drogą ku Zapadni! Spieszcie na Boga! spieszcie wszyscy! ratujcie!

Nikt zrozumieć nie mógł.

— Gwałt, rozbój, zdrada!... Alfred... Alfred Kalanka ją porwał, podprowadzili zdrajcy, nie traćcie chwili... gońcie za nim!

— Ale ty!

— Gońcie tylko; mnie tu zostawcie, po mnie później... jutro, choćby nigdy, byleście ją wyrwali z rąk tego zbójcy...

— Jak się to stało? co tu było?

— Nie ma czasu mówić! gonić! gonić!

— Wielu ich?

— Kilku kozaków i on... jedźcie, jedźcie!

Bolesław nie pytał, już oddawna siedział na koniu, Derewiański i wszyscy ludzie ich odciawszy postronki od bryczek którymi przyjechali, skoczyli także na konie i cwałem popędzili ku Zapadni.

Stanisław pozostał znowu sam, klęczący ze złożonemi

rękoma... z oczyma zwróconemi ku niebu; bezsilny, pracował jeszcze bo się modlił, a modlitwa jego była tak gorąca, strzelista, łzami i krwią oblana, że Bóg usłyszeć ją musiał, i wysłuchać.

Spóźnienie wezwanych pomocników było bardzo naturalne; konie któremi pojechał Jan z całej wsi były najgorsze, karczemek pełno po drodze. Maciek stanął prędzej od niego, ale nie rychło także i pieszo, na pierwszej bowiem ćwierci mili koń poznawszy się na jeźdźcu zrzucił go. Chłopak próżno się za nim upędział godzin kilka po pastwiskach, trawą i głosem go nęcąc, koń dawał mu się zbliżyć o kilka kroków i w galop oddalał, ciągle zwodząc niemiłosiernie; wreszcie widząc, że upartej bestji nie da rady, co go tylko odwodząc ku domowi drażniła, Maciek pieszo ale biegiem, chcąc zwłokę nagrodzić, dobił się jakoś do Klnków.

Bolesław chwili nie stracił, uzbroił się, zebrał ludzi, pochwycił Derewiańskiego i pobiegł ku Okopom, ale przybył za późno.

Zostawmy nieszczęśliwego starca w leśnym zakątku, klęczącego na skrwawionych i polamanych nogach, i lećmy za pogonią, która cwałując drogą, świeży ślad kół widząc przed sobą.

Powóz szybko gnany pędził rozbijając się po zawałach, szarpiąc o gałęzie, co chwila grożąc wywrotem, ale Zabijaka który nim powoził, był zręczny, wiedział o co chodziło, i jak zwierz gnany przez wilki, instynktowo wśród biegu kierował po krętych zawrotach.

Lepiej, bo lżej jechali pogońcy, ale Kalanka miał pół godziny czasu przed nimi. Zmierzch coraz się stawał podobniejszy nocy, droga coraz mniej widoczna, a powozu ani słychu przed biednym Bolesławem, który

ostatnich sił ze swego konia dobywał.

Ale nareszcie i droga rozrzedzonemi zaroślami otoczona zdawała się zbliżać ku Zapolni. Niedaleko karczmy znaleźli na ostrym pniaku rozbitego konia, któremu kozacy postronki poobcinali tylko; był to nieszczęśliwy kasztanek biczowy.

Widok ten dodał otuchy goniącym; koń jeszcze niezdechły okazywał, że tylko co go porzucono; ucieczka musiała się przez to opóźnić, stracono chwilę pozbywając się konia.

Bolesław spiął nogami swego łysego czerkiesa i popędził tchu ostatkiem, w dali już coś turkotało; serce uderzyło mu silniej, wstąpiła w nie nadzieja, pochwycił dubeltówkę wiszącą na ramieniu.

W tem zaświeciły okna karczemki i ukazał się stojący przed nią powóz. W okamgnieniu Derewiański i ludzie Bolesława otoczyli Kalankę i jego kozaków. Szczęściem ucieczka dalsza z powozem była niepodobną, bo drugi koń leżał skaleczony ostrą gałęzią, która mu brzuch rozszarpała. I poleskie drogi na coś przydać się mogą...

Z powozu krzyk słaby z płaczem zmieszany słyszeć się dawał; grzmiący głos Alfreda go głuszył; kozacy wyciągali konia, Zabijaka siadał na kozioł mając już gnać dalej... gdy w koło zaszumiało, zatętniało, i Bolesław zawołał:

— Stójcie łotry!

Kalanka wychylił się, siedział na przodzie powozu; Frunia dziwnym głosem wrzasnęła przeraźliwie...

W mgnieniu oka napastnik błady, obłąkany, sam nie wiedząc co czyni, pochwyciwszy pistolet, wyskoczył z powozu pędząc na Bolesława.

Bolesław celował ku niemu z dubeltówki. Spotkali się oko w oko o dwa kroki. W twarzach obu malowała się nienawiść, zjadłość, wściekłość prawie; usta ich trzęsły się gniewem, nie mogąc wymówić słowa. Alfred nie patrzył już co się działo za nim, chciał tylko pomścić się na człowieku, który mu jedyną, ostatnią zabiegł drogę, nie myśląc co zemsta pociągnie za sobą.

Prawie razem wystrzelili, Bolesław upadł chwytając się ręką za bok lewy, ale w tejże chwili Derewiański powalił Kalankę dobrze wymierzonym postrzałem. Ruch konia tylko zmienił nieco kierunek jego i Alfred upadł, silnie w kłęby całym nabojem rażony.

Wśród huku tych strzałów i wrzawy szamocących się ludzi, przelekła Justysia wyskoczyła z powozu widząc się swobodną, ale obłąkana, przerażona ledwie kilka zrobiwszy kroków, upadła. Frunia, szalejąca ze strachu, wyrwała się w drugą stronę i wprost rzuciła się do lasu, ale ją jak innych współników napadu, ludzie Bolesława zatrzymali.

Zgiełk, zamieszanie, krzyki jakie powstały po pierwszym starciu, opisać się nie dają; gdyby nie Derewiański przytomny, zimnej krwi i żywo się krzątający, napastnicy byliby może uszli unosząc rannego pana swego. Rozkazawszy otoczyć powóz i nie puszczać nikogo, sam przebił się przez ściśnięte koło do Justysi, leżącej bez zmysłów. Już i Bolek lekko w rękę i w bok raniony, bo kula mu je razem przeszyla, powstał wołając na swoich; Alfred z bólu i rozpaczyleżał jak trup bezwładny. Widząc to, kozacy poczęli się wymykać, ale ich wszystkich schwytano.

W tem szamotanie się i walka jakaś cicha w prawo za powozem, zwróciły uwagę Derewiańskiego, który od

Justysi poskoczył w tę stronę, gdzie jeszcze coś się zdawało zagrażać.

Wśród zmroku trudno było rozeznaczyć człowieka, który twarz kryjąc, wyrwał się zapamiętałe ludziom usiłującym go przytrzymać. Derewiański pochwycił go za kołnierz, ściągnął z konia, i gdy czapka spadła z głowy, poznano ekonoma z Zaborza, który z zaciętymi usty, kłął na czem świat stał, Kalankę, żonę i siebie.

Derewiański kazał go związać i z innymi jeńcami zanieść do karczmy, gdzie ich wszystkich na gnoju tymczasowo umieszczono.

Omdlałą Justysię wniesiono ostrożnie do izby Juchima. Żyd w ciągu całej tej sprawy stał na progu wrót, ostrożny, nie mieszając się do niczego, ale ruchami i słowy mimowolnie pomagał panu Derewiańskiemu. Cała też ludność Zapadni, Zmora, Naścicia, Sura, bachury i belfer nawet, na każdy wystrzał schylając głowy i wrzeszcząc: Aj waj! wlepiali się w okna i drzwi, przypatrując dziwnej scenie, która im się tak niespodzianie nasunęła na oczy. Juchim nie chciał sam nic robić, ale nogą tupał, kłął i za pejsy się targał; dopiero gdy Boikowskiego wniesiono, oczy mu zabłysły, i założywszy w tył ręce, poszedł za nim powoli, nie mogąc wytrzymać, żeby trochę za swoje przy podanej zręczności mn nie oddał.

— Kłaniam panu! — rzekł, nachylając jarmułki — a wej! co to panu jest! To jest pewnie jakiś omyłek! Pan między rozbójnikami! między złodziejami jeszcze jak sobie chce; ale ze zbójcem... A wej!

Boikowski zgrzytał, ale milczał.

— Herst — mówił dalej nielitościwy żyd — co to

ja widzę? Czyż to wielmożny pan! A cóż bez niego będzie w Zaborzu, jak jegomości powieszają?

I tak śmiał się, szydził, gadał, dopóki go ciekawszy nie odwołał widok — rannego Alfreda niesiono także na słomę. Żyd stanął przed nim, uklonił mu się, usta wykrzywił, czapkę podniósł, klapnął się po bokach, popatrzał, zamruczał coś i z uśmiechem pobiegł do karczmy.

Któżby w tej chwili poznał tak spokojną zwykle Zapadnię!... w pierwszej wielkiej izbie, na stole usłanym sianem, spoczywała ledwie przebudzona z omdlenia i jeszcze drżąca od strachu Justysia; trzymała ona rękę Derewiańskiego wzdygając się na najmniejszy szelest i krzycząc jeszcze. Piękne jej oczy to z podziwieniem przebiegały po czarnych karczmy ścianach, to z litością zwracały się na rannego Bolka, który krew zatamowawszy chustką, stał trochę opodał, oparty o ścianę, zadumany i zburzony gniewem jeszcze.

Dwóch ludzi w kącie pilnowało krzyczącej, płaczącej, wrywającej się Fruni.

— Na Boga! każ pan ją puścić! — szepnęła Justysia, przychodząc trochę do siebie — dość i tak będzie ofiar.

— Nie! nie! nie mam prawa i nie mogę; wyprowadzić ją każe, ale puścić nie pozwolę, ani jej, ani nikogo z winnych.

— Czy zabity kto? — spytała Justysia ze strachem.

— Szkoda że nie — odparł Derewiański; — Alfred trochę tylko postrzelony przezemnie, resztę odpokutuje potem.

— A ludzie?

— Nikogo, powiadam pani, nikogo zabitego; nie oba-

wiaj się pani — zgadując myśl jej podchwycił stary — nie wiem tylko co się tam z biednym Stanisławem dzieje?

— Gdzież był Stanisław?

— Został pod Okopem z połamanymi nogami, bo chciał panią bronić jeden przeciwko wszystkim.

Justysia załamała ręce i zakryła twarz.

— Poszlijcie do mamy! poszlijcie do niego! — zawołała — lub... jedźmy sami, jedźmy wszyscy, prędzej, prędzej!

— Trzeba mi się tu wprzód rozporządzić — rzekł Derewiański — żeby mi winowajcy nie pouciekali; a pani samej i Bolka tak mocno rannego puścić nie mogę.

— A! ranny pan Bolesław — przerwała Justysia — jam i nie pomyślała o tem! przebac pan! obłąkana jestem, nieprzytomna...

— To nic, moja rana mała bardzo — spokojnie odparł Bolek — myślmymy o pani, o Stanisławie, o mamie... mnie nic nie jest.

Kiedy to mówił sparty o ścianę, usiłując nie okazać cierpienia, usunął się powolnie i z uśmiechem udanym, omdlał. Justysia krzyknęła lecąc ku niemu, ale ją Derewiański uprzedził.

Nieszczęściem tyle było do zrobienia w tej chwili, że wszystkiemu poddać było trudno. Potrzeba było połapanych napastników pod strażą odesłać do miasteczka, jechać po Stanisława, dawać ratunek Bolkowi, oznajmić matce, odprowadzić Justysię do Zaborza... Ona chciała wracać jak najspieszniej; Bolek mdlał, kozacy krzyczeli w sieniach... Derewiański, który nigdy nie był w podobnych obrotach, rady sobie dać nie mógł i głowę tracił.

Widząc go tak zafrasowanego, Juchim przystąpił do niego :

— Co to pan tak desperuje ? — spytał.

— A ba ! jak nie mam głowy tracić — rzekł machinalnie zagarniając włosy poczciwy Derewiański — patrz co tu ja mam do roboty ! Ot tych łotrów muszę przecie oddać w ręce komu należy. Pannę trzeba odwieźć zaraz do dworu ; ten ranny z sił opada ; a jeszcze w lesie i Stanisław leży, może do tej pory nie żyw, bo pokaleczony a bez ratunku.

— Na wszystko się poradzi, — rzekł żywo żyd rzucając ramieniem. — Tych gałganów trzeba dobrze powiązać i zamknąć tutaj, żeby tylko nie puciekali. U mnie jest komora zamczysta, sznurów nie zabraknie, ich tam zepchnąć.

— I trzeba przy nich straż zostawić, a tymczasem poszlemy do miasteczka po większą siłę.

— Nu ! wielka rzecz powiązanych dopilnować, to ja ze Zmorą potrafię.

— A któż pojedzie do Zaborza do pani ?

— Państwo sami tam jedźcie ; pani tam już i tak ledwie żywa bez córki.

— A co robić z tym biedakiem ! — wskazując na Bolka, rzekł sąsiad skłopotany.

— I na to można poradzić ; mnie się zdaje, że poselając do miasteczka, doktorowi dać znać, a jego tymczasem trzeba zabrać do Zaborza.

Namyślał się Derewiański, skrobał nieszczęśliwą łysą głowę, ale nic lepszego nie wymyśliwszy, pobiegł co tchu pakować jeńców do komory, opatrując sznury, któremi im ręce i nogi na nowo skrępowano. Nawet ran-nemu Kalance, w obawie, by się nie targnął z rozpacz

na własne życie, mimo wściekłego oporu, silnie związane zakrwawione dłonie. Boikowski, który odzyskał przytomność, wziął się za późno na niezgorszy wymysł i chciał dowodzić, że przybywał na ratunek, gdy omyłką schwytany został; ale Alfred ze wzgardą spojrzawszy na niego, rozśmiał się gorzko i mruknął:

— Szalbierz!

Dość było tego na obwinienie, choć za późna wymówka i tak ocalić go nie mogła. Frunię związaną lekko oddano osobno pod straż Sury. Derewiański tymczasem kazał do powozu Alfreda zaprządz swoje konie, od żyda wziął latarnię dla przodem idącego sługi i Justysię jeszcze płaczącą, przelekłą, niespokojną o matkę i Bolesława, wsadził, samotrzeć z nimi spiesząc do Zaborza. Dwóch ludzi zostawiono na straży u drzwi komory; syn arendarza wysłany został do miasteczka.

Dziwny był widok tej karczmy w chwili gdy powóz odjeżdżał; ognie świecące wszędzie, ruch niezwykle, zmienione twarze mieszkańców, ich urywane i tajemnicze z sobą rozmowy, jęki i wołania w komorze zapartych, tworzyły coś strasznego i fantastycznego. Zmora z dwoma ludźmi Bolesława, z siekierą na plecach, z fajką w zębach, począł przechadzać się poważnie przed drzwiami więzienia, długą obiecując sobie gawędę.

W komorze, do której zaglądał, Zabijaka, Jagoda, Dubina i Sołowej, kozacy Kalanki z twarzami pooszarpywanemi leżeli, stękając obok pana, przez litość czy przypadek złożonego na worach i garści słomy.

Alfred jęczał i zgrzytał zębami i rzucał się konwulsyjnie; rana jego obwiązana była, ale krew saczyła się z niej przez chusty; twarz jego blada, miała wyraz zapamiętałej rozpacz, oniemiałej, bo niezmierzonej, okro-

piej. Dalej Boikowski, w największem rozdrażnieniu i gniewie jak opętany miotał się, usiłując rozwiązać, a coraz tylko mocniej obrzynając sobie ręce sznurami.

Ohydne było to bezsilne rzucanie się złoczyńcy, który chwilami otwierał usta, by łajać Alfreda, żonę, kląć ich, grozić zemstą całemu światu, to znów upokarzać się, błagać, stękać i płakać, choć go nikt prócz współników nie słuchał. Alfred ze wzgardą niekiedy tylko poglądał ku niemu.

Juchim z ciekawością filozofa-badacza, ucho przykładając do szpary w ścianie i podsłuchiwał uśmiechając się z szelestów, szmerów, wykrzyków swoich więźniów.

— Dobrze wam tak — powtarzał — dobrze tak! łotry, gałgany, rabusie, a wielkie panowie. A waj! Otoż wam teraz turma! Gite nacht! Dobrze wam szelmy! to za moją wódkę, to za moje pejsy, to za moje wszystko...

Sura z oka nie spuszczać Fruni, która zanosila się od płaczu, wołając: — Jam niewinna! ja nieszczęśliwa! — swoim zwyczajem dreptała z kąta w kąt, przenosząc garnki, ustawiając rynki, wałkując łokszyn, jak gdyby nic tak dalece nadzwyczajnego się nie przytrafiło. Bachury wyglądały jak stado gęsi, do którychby kto strzelił; belfer nic nie rozumiał, ramionami ruszał i już brał się do gamu, z wielką pogardą dla goimów, którzy mu naukę jej przerwali.

Zmora, piastujący chwilowo dostojność stróża więzienia, był nią dosyć dumny i namyślał się wcześniej jak o tem wszystkim opowiadać będzie potem. Naścia dumiała, czy Sura nie dopatrzy się ubytku w flaszy, bo wśród popłochu i wrzawy powszechnej, dobrała się do niej, dla dodania sobie serca i pół kwarty wychyliła.

Taki był obraz Zapadni, gdy syn Juchima siadł na

koń we wrotach i z listem pana Derewiańskiego, silnie machając biczyskiem, wyjechał do miasteczka.

Powóz zwolna posuwał się ku Zaborzu, a droga, którą nieszczęśliwe dziecię przebyło tak szybko wprzód, w rozpacz, strachu, łzach, omdleniu, wśród szyderstw Fruni i zaklęć Alfreda, teraz jak wiek była długą. Na końcu tej drogi czekała stroskana matka! Bóg wie w jakim stanie, z jaką w sercu boleścią!

Przy Justysi ranny Bolek, choć z uśmiechem na ustach, choć co chwilę upewniając, że bólu nie czuje, tracił krew, siły i omdlewał prawie.

Justysia myślą leciała przed siebie, i wracała ku temu biednemu rannemu, który ją ocalił. Derewiański jak mógł ducha dodawał, to Bolka podtrzymując i coś mu szepcząc na ucho, to pocieszając Justysię, to upewniając, że już niedaleko Zaborze, choć całkiem o tem nie wiedział.

Wyprzedźmy powolnie wracającą Justysię i zajrzyjmy co się działo pod Okopem, gdzie biedny Stanisław modlił się sił ostatkiem na pomoc Boga wzywając; co się działo we dworze z matką nieszczęśliwą.

Jej nie wiele było potrzeba do niepokoju i trwogi; gdy o zmroku nie było dziecięcia, powstała z kanapy i zwołała zaraz cały dwór, rozsyłając go na wszystkie strony, jakby z przeczuciem jakiegoś nieszczęścia. Właśnie gdy ludzie rozejść się mieli szukać Justysi, wbiegła do salonu pani Teresa ze swoją szyderską i filuterną minką.

— Cóż to, pani slysze niespokojna o panienkę? — odezwała się przymilajac.

— A! tak, moja Boikowska; Justysia bardzo późno wyszła na przechadzkę, sama jedna z tym trzpiotem

Frunią, może gdzie zbłądziły, albo pies... albo zwierz... tak blisko las... boję się niezmiernie.

— I niech pani będzie spokojna — żywo zagadła Teresa — toż to nie pustynia; widziałam, że poszły ku cegielni; to droga czysta, może gdzie po drodze wstąpiły do chaty, jak to panienka ma zwyczaj.

— Jak to? poszły do cegielni? mnie mówiły, że ku Okopom?

— Ale ja!... — zmieszana trochę odezwala się Boikowska...

— Widziałaś?

— Widziałam sama!

— Ludzie mnie upewniali inaczej; niech poszlą powóz i ludzi pod cegielnię.

Teresa wyrwała się szybko, uspokoiwszy trochę panią i wróciła na folwark; konie poszły ku cegielni, a matka pozostała w tym większym strachu, że zupełnie sama, bo ani Boikowskiego, ani Stanisława, ani Fruni nie miała przy sobie. Przechadzała się po pokoju zaglądając do okien, wybiegła na ganek, gdy powóz powrócił. Justysi nigdzie nie było.

Strach jej rosnąc niespodziewanie, zaczynał olbrzymieć; już widziała nieszczęście, już czuła przypadek jakiś, ale nie pojmowała jeszcze, co dziecku jej groziło. Konie cwałem wysłano ku Okopom. Na wołanie woźnicy słaby tylko głos Stanisława odpowiedział, i ciemność otaczająca nie dozwalała go wynaleźć prędko; wreszcie odkryto starca, przytulonego do zielonej ściany wałów, i ludzie wzdrygnęli się z przerażeniem znajdując go w tym stanie.

Powolnie złożyli go w powozie i noga za nogą powieźli do dworu. Biedny męczennik przemyślał całą

drogę, co swej pani powieścić, by jej nie przerazić; jak swe nieszczęście okłamać, żeby się od kogo nie dowiedziała wcześniej o większym jeszcze. To uczucie pocziwe nie dozwoliło mu nic wyjawić przed ludźmi, którzy go zabierali.

— Co to się panu Stanisławowi stało? — pytali go.

— Nic, nic, wypadłem z wozu wracając z miasteczka, wóz mi nogi przejechał a konie z nim uciekły.

— Ale panienki nie ma?

— A! a gdzież panienka?

— Poszła na przechadzkę; pani w strachu śmiertelnym... dotąd nie powróciły.

Zaciągnęli się tak do dworu; wdowa znowu wybiegła na ganek i myśląc powitać córkę, ujrzała w jej miejsce swego starego sługę, który usiłował ją mimo boleści wyciskającej jęki, pocieszyć i uspokoić.

— Co to jest? na Boga! co to jest? — krzyknęła pani Żacka. — Stanisławie! co ci się stało? zbójcy? napad?

— E! nic! mała rzecz pani kochana... nic... wracałem z miasteczka, konie się czegoś zlekły, wóz się wywrócił, koła mi trochę nogi przygniotły... I tak... jakoś wstać nie mogłem, dobrze że ludzie nadjechali.

— Ale wiesz... Justysia... moje dziecko!... Justysi nie ma!

— Panna Justyna musiała się w lesie zabłąkać — odpowiedział Stanisław spokojnie — zdaje mi się nawet, że jej głos i śpiew tego trzpiota Fruni słyszałem przed pół godziną gdzieś za Okopami... Ale niech się pani nie boi, w lesie zwierza nie ma, trochę tylko będzie strachu.

— Wsiądź-że mój stary... może ci czego potrzeba?

— Zaraz, zaraz, niech-no pani sobie idzie do pokoju bo wilgoć, a ja się powoli wygramolę.

Pani Żacka uwierzywszy tej całej historii, weszła nazad do pokoju, a ludzie zanieśli Stanisława do ciasnej jego izdebki i złożyli na łóżku.

— Poszlijcie teraz po cyrulika — rzekł cicho; — tylko tak, żeby pani nie wiedziała... bo obie nogi mam połamane...

To mówiąc, stary obejrzał się na krzyż Chrystusa stojący na ołtarzyku, i jakby mu ofiarował cierpienie swoje, westchnął lżej nieco.

Na chwilę uspokojona pani Żacka, w miarę jak wieczór w noc się przemieniał, poczyniała znowu z największą rozpaczą co było w domu ludzi rozsyłać, rozpędzać, a sama we łzach usiadła na ganku, załamując ręce... Wieczór zszedł cały, a o Justysi ani słyhać.

Przywiezienie pokaleczonego Stanisława doszło z ust do ust na folwark i domyślna ekonomowa stanęła osłupiała na chwilę, nie mogąc pojąć co on tam pod Okopami robił, a nie wątpiąc, że był świadkiem porwania. Wkrótce jednak rozśmiała się z własnego strachu i tupiąc nogą zawołała: Musi się udać i już się udało kiedy jej nie ma.

Trudno opisać, co przez tych kilka śmiertelnych godzin działo się z panią Żacką... traciła przytomność, wyrwała się iść sama, wołała, płakała, dostawała serdecznego śmiechu i mdłości, a Kunegunda, nie wiedząc już co począć, wciąż tylko świętościami ją żegnała.

Około jedenastej ukazało się światelko latarni na drodze od Zapadni, za niem powolnie posuwający się powóz. Zaledwie błysło, wdowa już leciała naprzeciw niemu, czując tam dziecię swoje.

Na moście przed domem przypadła jak obłąkana do drzwiczek powozu, wyciągnęła ręce ku Justysi, ale na widok dwóch obcych osób, zadrżała i stanęła słupem.

— Co to? — zawołała — co to było? krew! krew! rany! Pan Bolesław... Derewiański! co to jest! gdzie byłeś? gdzie Frunia? mówcie mi... Tyś zdrowa, tobie się nic nie stało Justysiu?

— Nic, nic, nic — z płaczem wyskakując z powozu odpowiedziała córka, i rzuciła się w objęcia matki... — Bóg dobry i oni ocalili mnie od wielkiego nieszczęścia... tak... Bóg, oni, Stanisław!

Derewiański wziął na siebie opowiedzenie wszystkiego, bo nikt inny w tej chwili dopełnić tego nie mógł; niedosłuchawszy końca, pani Żacka z wściekłością prawie porwała się i posłała, żeby natychmiast przytrzymać Boikowskę; domyśliła się nareszcie wszystkiego.

dziwnym chwilowym skutkiem wrażenia, jakiego doznała, zwykle osłabiona i bezsilna, teraz była jakby odmłodzoną, czynną, a nieszczęście zdawało się wlewać w nią moc nową. Poświęcenie Stanisława do nowych ją łez rozrzewniło.

— Chodźmy Justysiu — krzyknęła biorąc ją za rękę — chodźmy i ukłękniemy u jego łóża i przeprośmy, bośmy go cenić nie umiały... to nasz zbawca, to nasz dobroczyńca. On cierpiąc dla dania mi chwili spokoju, wstrzymał się i teraz, i pobożnie kłamał przedemną.

Obie kobiety pospieszyły do izdebki Stanisława. Derewiański pozostał przy Bolku, który słabł tracąc krwi wiele, a utrzymać jej nie umiano.

Piękny to był i rozrzewniający widok tego pocziwego sługi z rozjaśnionem czołem cierpiącego za ukończonych; a u nóg jego tych dwie kobiety, co łzami

teraz płaciły mu za późne poznanie się na jego wielkiem sercu.

Justysia wiedziała teraz, że Frunia była sprawcą nieporozumienia i całą przyczyną nieszczęścia, którego pomysł utworzyła Teresa, a głównym wykonawcą naznaczyła garderobianę. Jej rola późniejsza wyjaśniła całe poprzednie postępowanie.

— Mój drogi, mój poczciwy Stanisławie! nie wiemy jak ci odplacić, jak cię dziś przebłagać, — wołała wdowa — myśmy ci tyle, tyle winne!

— E! nic! — ocierając łzę mówił stary po cichu — to chwała Bogu, że panienkę uratowali; reszta to mała rzecz; mnie już nie wiele świata zostało; na drugim czeka mnie mój anioł kochany... Miło wam choć tę odrobinę nieużytecznego życia poświęcić. Niech się pani o mnie nie troska i nie dziękuje; bo mi tylko wstyd, że się lepiej nie udało.

A widzi pani, że staremu czasem wierzyć potrzeba...

— Prawda! prawda! mój Stanisławie; wiesz, że Boikowski był z nimi?

— A! i złapali go? — spytał żywo stary.

— Schwytany.

— A ten rozbój Kalanka?

— Ranny leży w Zapadni.

— No! a moi poczciwi obrońcy? Bolesław...

Justysia zamilkła, Żacka się trochę powstydziła i cicho szepnęła:

— Trochę ranny.

— O mój Boże! ranny! a posyłajcież po doktora! A Derewiański?

— Chwała Bogu! nic mu się nie stało.

— A! dobrze i to! Już mi teraz lżej i bez cyrulika...

Niech pani wraca do pokoju; myślcie o tamtym, ja tu sobie radę dam, byle Maciek powrócił i Jan, to mój dwór!

— Nie, — odezwała się Justysia — pozwól, że i ja czuć umiem moje obowiązki; ja muszę zostać przy tobie.

— A tamże to nie ma obowiązków? — z półuśmiechem nieznacznym wpatrując się w panię spytał Stanisław.

— To się podzielim — z wyrazem silnego postanowienia odezwała się matka. — Zostań tu Justysiu ja tam idę.

Bolek, pomimo osłabienia, przy pomocy Derewiańskiego, który mu radził jak umiał, oczekiwał przybycia lekarza, ból wstrzymując po męsku. Nadejście pani Żackiej jeszcze w nim nowe męstwo wzbudziło; usiłował pokryć przed nią co cierpiał, rękę schował i upewniał ją, że lekko tylko w bok go draśnięto. Ale oko kobiety łatwo odkryło to pocziwe oszukaństwo i łza wdzięczności, która obmyła niesłuszne uprzedzenie dawniejsze, wytrysła z pod powieki.

Bolek chciał koniecznie zaraz powracać do domu temi samemi końmi i powozem, jakby tylko cokolwiek rozwidniało, aby uspokoić matkę; na to nie pozwoliła gospodyni.

— Nie rób mi pan tej przykrości — zawołała ze wzruszeniem; — ranny dla mnie i cierpiący nie opuszczaj mego domu; pocziwy nasz Derewiański pojedzie po matkę jego i przygotowuje ją do tak niespodziewanego strapienia... Nie puszczę pana i nie pozwolę mu wyjechać.

Bolek spuścił oczy i nie nalegał więcej. Derewiański uśmiechnął się i łysinę w wielkim nieladzie zapomnianą, poprawiać zaczął niespokojnie.

— O wszystkich państwo myślicie — odezwał się — tylko o mojej Domicelce nikt nie piśnie... No! no! już ja jej się sam zaprezentuję, jadąc po matkę pańską, bo i ona jakby jej kto z nienacka powiedział o mojem wiosennem polowaniu na wilki i lisy, gotowaby tu przylecieć i w pierwszym ferworze za niewczesną donkiszoterję, mogłaby mnie poczęstować szeroką dłonią... jak się patrzy... nosiłbym znak długo!... a jeszcze pocałowaćbym musiał za ten dowód troskliwości!

Po długiem dość oczekiwaniu, zjawił się wreszcie doktor przestraszony, z bincechem pod pachą, z chirurgiem, cyrulikiem i połową apteki. Był to nie młody już pocziwy syn Eskulapa i Hygei, mający tę tylko jedną wadę, że się sam bał każdej choroby i niezmiernie straszył swych pacjentów. Zresztą najzaczniejszy człowiek, dobroczynny, łagodny, serdeczny, ale tchórz jakich mało. Można sobie wyobrazić, jakie na nim wrażenie zrobiły rany Bolka; bo go Stanisław (do niego wprzód zaszedł) odesłał zaraz opatrzeć wprzód swego ulubieńca.

— Mnie staremu nie wiele się należy, — rzekł powolnie — idźcie do Wilczka; ja mogę poczekać; nawykleszy jestem do cierpienia.

Chwacki (tak się doktor nazywał), cały zaperzony wbiegł do pokoju, w którym na kanapie umieszczono Bolesława. Derewiański spotkał go na progu szepcząc mu po cichu: — Na miłość Boga! Eskulapie serca mego, Hipokratesie mej duszy, Gallienie moich myśli, nie wystraszej mi Bolka!

— Ale dajże mi pan pokój! nie wstrzymuj mnie, tu potrzeba co najprędzej ratować.

Pospieszył do Bolesława, ale zaledwie oddalono panią Żackę, a on porozcinawszy odzienie, rany opatrzył na

prędce, taką zrobił minę, tak nosa spuścił, tak się zmieształ, że Derewiański musiał go w bok uderzyć, przypominając obowiązkową odwagę.

— Serce moje! bądź-że doktorem, a nadewszystko mężczyzną.

W rękę tylko jedna kość była draśniętą, ale żaden ważny muszkuł, żaden organ nie został naruszony. Kula przeszywszy ją, odłamawszy kość trochę, utkwiała w boku. Ta rana była nie głęboka i wyjęcie kuli nie trudne. Bolek świszcząc zniósł pierwsze obejrzenie; myślał o tem, żeby Derewiańskiego i doktora nie straszyć; pomimo to jednak, Chwacki dwa razy pić musiał wódkę nim dokończył obandażowania, poczem poleciał do Stanisława.

Tu przy wieku i osłabieniu straszniejszem było złamanie nóg obydwóch; staremu nie tak łatwo zrastają się kości, a ciało szafując na to siły swoje, wycieńcza się i niszczy.

Oddalono Justysię, która odeszła do matki, stary wziął swój różaniec, kazał sobie krzyż przynieść, i tak z modlitwą na ustach zniósł mężnie boleść, którą błogosławił.

Jak tylko powóz Justysię i jej obrońców wiozący zatoczył się przed ganek, nim jeszcze powysiadali, już niespokojna Teresa, która go z daleka zobaczyła, z krzykiem pobiegła do stajni.

— Konie do wózka! — zawołała. — Konie do wózka!

Sama pochwyciła pieniądze, droższe swe sprzączki, obwinęła się salopą porwaną na prędce, nie zapomniała o fajce, a zostawując dziecię, o którym nie pomyślała nawet, chłopaka zepchnawszy z kozła, mimo ciemności sama się powożąc, ruszyła w świat nie żałując koni.

Gdy na folwark wbiegli ludzie z rozkazu pani, aby ją przytrzymać, jej już nie było, drzwi tylko znaleźli otwarte i świecę dogorywającą w lichtarzu...

XI.

Z a k o ń c z e n i e.

Jest u nas podanie o jakiejś żydowskiej pocztcie, którą starozakonni, przed niewielą jeszcze laty ściślejsz niż dziś skupieni w gromadkę, do spraw swych ważniejszych używać mieli; z karczemki do karczemki, z kartką lub hasłem tajemniczem, oklep na chudej szkapie, puszczał się w łapserdaku z połami zakasanemi, lub w jednym tylko kaftanie żydek, i do najbliższego współwiercy znać dawszy o nowinie obchodzącej Izraela, powracał nazad powoli. W ten sposób z telegraficzną szybkością, handlowe i inne dotyczące się losów narodu wiadomości, w pokoleniach wygnańców krążyć miały. Tak to mówiono; ja przyznam się, że nigdy, widząc żyda jadącego na koniu, w tę pocztę tajemniczą uwierzyć nie mógł. Żyd zwykle (wyjmuję z powołania koniarzy) lichy siedzi na szkapie, kolanami, łytkami i piętami nieustannie poddaje ducha bydłeciu, smaga, bije, cmoka, krzyczy, a rzadki koń, żeby się pod nim nie znarowił, bo czuje że żyd nie umie siedzieć na nim, gdyż nim włada zuchwale ale tchórzowsko razem. Nic pociesniejszego nad tę jazdę proszoną i nadzwyczaj powolną, a dla jeźdźca pracowitszą nad wszelką inną pracę.

Tak właśnie jechał syn Juchima do miasteczka, na bułanej jego kobyle, która przywykła do chomąta i hobloli, a obdarzona przyzwolitą dozą samowolności i uporu, ani myślała słuchać takiego młokosa. Szła wprawdzie czasem po kilka kroków, gdy się jej podobało, mocno uderzona podbiegła nawet kończąc poskok wybrykiem, ale za chwilę potem stawiała, spuszczała głowę, poczyniała młodej wiosennej trawy kosztować, a ściskana desperacko cienkimi nóżkami żydka, podrywała tylko tyłem, żeby mu delikatnie dać do zrozumienia, że sobie z niego żartuje.

Im upartszą była sędziwa klacz bułana, tem więcej złościł się żydek coś w sobie ojcowskiego charakteru mający; pasowali się z sobą, i o pół mili od Zapadni bułana położyła się nareszcie. Roztropny potomek arendarza zsiadł i począł ciągnąć ja za uzdę, a zmusiwszy do wstania, postanowił jakiś czas w ręku ją prowadzić, aby uporu oduczyć. Niestety! nie lepiej mu się to udało, bo co kilka kroków stawali na przeciw siebie, on ciągnąc, ona cofając się z całej siły, on bijąc, ona wierzgając; bardzo nie łatwo przychodziło młodzieńcowi pokonać pełną charakteru i przyzwyczajoną tylko do swej bidki kobylę. Męczeńska to była podróż dla obojga.

W taki sposób jechał żydek do miasteczka niezbyt oddalonego, i łatwo się domysleć, że nie prędko tam stanął.

Tu, jak cisza po burzy, milczenie nastąpiło głębokie po okrutnej wrzawie; ale milczenie ciężkie, smętne, brzemienne wichrem i grzmotem.

W komorze jęczeli i stękali oswajając się z losem swoim więźniowie, z których nie jeden w milczeniu próbował sznury krępujące ręce towarzysza rozerwać. Al-

fred tylko, jakby mu wszystko było już obojętnem, leżał na słomie z zaciętą wargą, niemy i nieruchomy; kozacy szeptali z sobą, on ich nie słyszał. Boikowski kłął i jęczał; głos jego obijał się próżno o uszy Kallanki.

W izbie Sura Frunia, ze spuszczoną na piersi głową dumiała we łzach; widać jakiś promień nadziei jej świecił, bo mniej już rozpaczy widać było w zapłakanych oczach. Sura włóczyła się mileżąca; Juchim potrząsając ramieniem i głową, mrużąc oczyma, śmiejąc się, to stawał pod piecem grzejąc pięty, to latał po izbie. Belfer spał z uczoną, stanowi swemu właściwą obojętnością, która mu sprawami goimów a do tego współczesnych i żyjących, zajmować się nie dozwalała.

W sieni, do której wychodziły drzwi z komory, dwaj ludzie zostawieni przez Derewiańskiego wartowali, znużeni widocznie, zaprzestawszy gawędy, do której napróżno Zmora ich wyzywał. Ten, fajkę paląc towarzyszył im ochoczy, wesół i do tego stopnia ożywiony wypadkami, że kilka razy ciupnął siekierą w drzewo z dobrej i nieprzymuszonej woli, co mu się nigdy nie trafiło. Naścia przędła pod piecem udając trzeźwą, ale zamiast nici poślinionemi palcami kręciła powietrze, a wrzeczono oddawna leżało na ziemi. Za wszystkie czasy byłaby teraz naprzędła, gdyby jej się udało lnu pochwycić, bo śliniła co chwila palce a kręciły się jak nigdy żywo i mocno... Sura jeszcze się niczego nie domyślała.

W dali szumiał las głucho, jak gdy nocami bór rozmawia z niebem... to wichrem świsnęła chmura, to szelestem gałęzi odpowiedziały jej drzewa... i znowu milczenie, i znowu szepty tajemnicze...

Juchim stanął i ucha nadstawił — bo coś w dali

zaturkotało; posłuchał uważniej, ucichło. Zdawało mu się może; chodził znowu. W izbie dopalał się ogień, w sieniach było ciemno, stróżowie siedli i drzemali zmęczeni. Zmora widząc, że z nich słowa nie wydusi, wyszedł nieco na zajazd, nową fajkę zapalić.

Coś mu się mignęło... Naścia czy Sura; to w bieli... nie!...

— Zmora! — odezwał się głos cichy.

— O! a czego? — odparł stróż zdziwiony, nie wiedząc kto go woła, bo z razu nie poznał.

— Chodź-no tu... słówko...

— Gdzie?

— Tu, pod karczmę!

Zmora był bardzo odważny, poszedł, spojrział; stoi u węgła kobieta.

— Kto to?

— To ja...

— Widzę, że jakieś ja... ale kto?

— Cicho! cicho! Ja ekonomowa! — I nie dając mu się opamiętać, dodała żywo:

— Chcesz mieć chleb na całe życie? mów!

— No! a któżby niechciał?

— Gdzie oni są?

— Kto oni?

— Kto! ten pan i ci co z nim byli.

— Powiązani w komorze.

— Można do nich dostąpić?

Zmora się zamyślił. — Kat ich bierz! — rzekł w sobie — jakbym miał mieć chleb na całe życie a wódkę i tytoń, niechby się z nimi robiło co chciało.

— Dostąpić — rzekł — ciężko, ale można.

— Gdzie siedzą? Ja znam karczmę.

— W komorze u żyda.

— Okno od niej na podwórze?

— A co z niego, kiedy zabite.

— Zkąd?

— Z izby.

— Masz siekierę?

— A jest.

— Prowadź mnie do okna.

— No, a cóż dacie? — spytał Zmora skrobiąc się w głowę — tylko cicho, bo Juchim nie spi a Sura się włóczy.

— Masz — wyciągając mu worek brzęczący groszem, odpowiedziała kobieta. — Chodź.

Zmora fajkę za pazuchę wetknął choć była tylko co zapalona, worek pod kłodę we drwalni wsunął, i trzaskami przysypał, złapał siekierę i cicho poszedł za kobietą.

Okno nie było wysokie, jednak ręką ledwie go dostać było można; od środka kilka dranic broniło przystępu; szkła i ram nie miało, tak, że przez szczeliny, spiąwszy się, Teresa po cichu przemówić mogła:

— Hej! czyście powiązani?

Alfred odwrócił się żywo, głos ten znajomy wstrząsnął nim jak wspomnienie zbrodni, wzdrygnął się, nic nie odpowiedział; Boikowski szybko zawołał: A! ratuj! ratuj!

— Milczeć — tłumiąc głos odpowiedziała Teresa.

Już Zmora powolnie począł łupać deski i odrzucać je na podwórze w bliskie trawy; nóż wzięty od niego rzuciła zaraz ekonomowa do środka przez znaleziony otwór, żeby kozacy, którzy już sobie ręce porozplątali, mogli prędzej powrozy rozcinać.

W izbie cicho było oczekiwaniem; Boikowski oblewając się potem, drżał z niecierpliwości. Alfred, jakby go to nic nie obchodziło, milczał. Wkrótce dwie dranice odrzucono, i śmiała kobieta wsunęła się do izdebki, szukając, nie męża... Alfreda; uchwyciła go za rękę gorącą i krwią zbluzganą, którą już kozak uwolnił od sznuru.

— Chodź! — rzekła w milczeniu — chodź, konie czekają.

Alfred posłuszny ruszył się i jęknął.

— A ja? — gwałtownie spytał Boikowski.

— Zaraz... przyjdzie kolej i na ciebie — szepnęła kobieta. To mówiąc spięła się na okno nie opuszczając Alfreda, a Jagoda i Zabijaka podsadzili swego pana... Boikowski wrzał z niecierpliwości.

— A ja? — powtarzał — a ja?

Ale nikt mu już nie odpowiadał.

Teresa z Alfredem znikła w ciemni lasu, posławszy Zmorę z tajemniczem jakimś poleceniem do karczmy; kozacy wyskoczyli za panem; Ekonom, oczekując ciągle kolei, pozostał sam jeden.

Zmora tymczasem fajkę zapaliwszy — ktoby go podejrzewał o tyle przebiegłości! — poszedł z groszem do Sury na wódkę. Żydówka kręcąc się, nie bardzo uważała, jak się zbliżył do Fruni, rozciął sznurek wiążący ją, i rzekł jej w ucho: — Uciekajcie, a śmiało...

Nie trzeba jej było dwa razy mówić, nim żydzi się upamiętali, mignęła im przed oczyma; była już za karczmą i leciała wprost do lasu...

W chwilę potem na tracie w przeciwną od miasteczka stronę, żywo zaturkotał w galop pędzony wózek...

Juchim rzucił się do drzwi, Naścia z kądzielą za nim, Belfer zerwał się z ławy, dzieci z pościeli, Sura upuściła garnek i rozbila nadzieję wieczery; Zmora z siekierą, okrutnie wrzeszcząc, wyleciał także, pobudzili się od halasu stróże, ale Frunia już była zni kła.

Okrutny zamęt powstał w karczmie. Juchim, któremu widać chodzilo o jeńców, zapaliwszy drzazgę przyskoczył niespokojny do drzwi komory, te były zamknięte i dobrze podparte. Coś go jednak tknęło, odwalono drąg, otwarto je i wszyscy krzyknęli.

W komorze leżał jeden tylko ekonom, zwijając się wściekły z gniewu.

— Gwałt! gwałt! — porwał się żyd za włosy — co to się stało? ja będę odpowiadał! ja zginiony! ja przepadły! Trzymaj tego łajdaka! trzymaj!

I rzucił się na Boikowskiego, bojąc się, żeby i ten nie uszedł mu jeszcze.

Zmora rachując na to, że w komorze nie był, a o jego współuczestnictwie nikt nie potrafi dać świadectwa, nadzwyczaj gorliwie pomagał żydowi i straży po niewczasie, kląć zawzięcie zbiegów.

Z całej bandy, jeden tylko winowajca, może najmniej, nie z własnego winien pomysłu, pozostał w ręku; reszta już w różne strony biegła uciekając od sprawiedliwości ludzkiej, gnana mściwą ręką Bożą, która w każdym złem umieściła ziarno kary, rosnące z niem razem.

Odwróćmy oczy od tego obrazu krwią zbryzganego i zbrodnią, a zakończmy powieść przenosząc się do Zaborza, w miesiąc po opisanych wypadkach.

Wiosna rozkwitała najwdzięczniej i znowu błogi pokój roztoczył swe skrzydła nad ubogiej wdowy strzechą, i znowu wróciło jej niezdrowie i niedoleżność ze zwykłym stanem rzeczy; ale życie w tym domku zmieniło się nieco. Nie było tu tak samotnie, tak pusto. Folwark tylko po Boikowskich stał pustką, bo on siedział w więzieniu badany właśnie o napad, do którego należał, a żona z Alfredem gdzieś jak w wodę wpadła. Reszta winowajców, kozacy Kalanki i ludzie jego, którzy się nie czuli winni, bo spełniali rozkaz jego, wrócili do wsi i w niej zostali ujęci. Frunia uszła nie wiadomo jakim sposobem i dokąd, ale jej śladu nie było.

Pani Żacka usilnie starała się, aby całą tę sprawę udusić i nie robić ją głośną, ale na to nie było sposobu. Szczęściem może sam sprawca skrył się tak dobrze, iż go nie schwytano. Ekonom jak najszczerszą i nikogo nie oszczędzającą spowiedzią starał się okupić swój występki, do którego został wciągnięty przez żonę i Alfreda. Mówił co tylko wiedział, mówił czego nie wiedział nawet, ale i to go poratować nie mogło.

Część domu w Zaborzu po lewej stronie zajmował Bolek, jeszcze chory i nie mogący odjechać do Kluków, z kąd matka do łóża jego przybyła, nieodstępnie czuwając nad ukochanym dzieckiem. Po zbliżeniu pani Żackiej do matki Bolka i do niego, słowa pocziwego Stanisława, który z łóża choroby jeszcze swoim panom służył, wywarły jak najlepszy wpływ na umysł wdowy i zmieniły jej zdanie o świecie. Nic o tem nie mówiąc wyraźnie, postępowaniem swoim okazywała, że radaby wielką przysługę uczynioną swemu dziecku, wynagrodzić Bolkowi największym darem, na jaki zdobyć się mogła... ręką córki.

Może też milczenie wymowne Justysi, jej pomieszanie, gdy o chorym była mowa, i tysiączne przywiązania oznaki, skłoniły matkę, pamiętającą jeszcze jak srodze boli serce, gdy mu wyrwą nadzieję.

Nie wyrzeczono jeszcze słowa o małżeństwie, ale widocznem już było, że na niem skończyć się musi; z drugiej strony, pani Wilczek codzień będąc z Justysią, która między nią a własną dzieliła się matkę, poznała lepiej ten skarb, którego syn jej tak pragnął.

I ona nic nie powiedziała, ale pomyślała w duszy: A może dobrzeby było, żeby się oni pobrali; on ją kocha i co dzień mocniej do niej się przywiązuje... To przeznaczone od Boga... mogęż się ja sprzeciwiać? Jestem pewna, że mu znajdę pocziwszą, łagodniejszą i przywiązańszą do niego istotę, któraby go tak jak ta rozumiała, ceniła, kochała? O! bo ona go kocha! I któżby Bolka nie kochał! — dodawała w ostatku.

Pani Żackiej mniej jakoś ciążyło życie, mniej dolegały bole; uczuła się mniej samotną, mając około siebie więcej osób co ją kochały i starały się rozerwać jej cierpienie i poradzić coś na nie.

Pani Wilczek, sama daleko może więcej chora i mniej silna, ale jak anioł cierpliwa, chętnie o sobie zapominała, czasem opuszczała syna dla tej, którą co dzień więcej ująć pragnęła, bo się do niej pocziwem sercem przywiązywała. Dwie te kobiety, co dotąd były sobie obojętne mało się znając, zbliżone, doskonale zgodziły się z sobą i pokochały. Żacka miała się komu zwierzyć, przed kim poskarżyć, tamta miała kogo pocieszyć i komu posłużyć. I dobrze im było z sobą.

Dnie płynęły jak szybkie wody wiosenne; a Stanisław opatrywany, odwiedzany w swej izdebce, wychudły, zne-

kany, ale pogodny i rad temu co uczynił, powolnie bardzo przychodził do zdrowia. Nogi jego już mu nigdy służyć nie obiecywały, a Chwacki wcześniej kule zwia-
stował.

— Byłem choć o kuli włóczyć się mógł — mówił starzec powolnie — i toby jeszcze było dobrze; mógł-
bym do dworu zajrzeć, do mojej pani i do dzieci...

— Do jakich dzieci? — spytał zdziwiony lekarz.

— A do Justysi.

— No! a więcej?

— To się znajdzie — śmiejąc się dodał Stanisław i zamilkł; Chwacki mocno się zadumał, bo wcale do-
myślnością nie celował; nie wiem czy się nawet doro-
zumiał, o kim była mowa.

Maciek, oddany do posługi starca, siedział nieodstęp-
nie u jego łóżka, choć mu bardzo pięty świerzbiały;
w chwilach od bólu wolniejszych Stanisław poduczał go
czytać i katechizmu, bo i chorobę swą na korzyść ludzką
obrócić umiał. Jan także przysługiwał się jak mógł
staremu, chcąc zatrzeć pamięć niefortunnej wyprawy
do Kluków, którą zresztą tłumaczył tem, że mu się
przy jednej karczemce pokazał djabeł na pstrokatym
koniu i wszystkiej biedy był przyczyną. Stanisław na-
próżno usiłował z głowy mu wybić i diabła i wódkę...
za późno już było! Co dzień Jan zaklinał się, że od
jutra wódki się wyrzeczy, co dzień coś mu przesko-
dziło, i tak ciągnęła się poprawa wiekuście.

Bolek, choć jeszcze skazany przez bojaźliwego Chwa-
ckiego na spokój i siedzenie, jakkolwiek miło mu było
i dobrze w Zaborzu, chciał już powrócić do Kluków i
wrywał się do nich, ale go nie puszczano. Zaledwie
z pokoju do pokoju przejść mu było wolno.

Słodkie zaprawdę były te życia jego chwile; cierpiał za tę, którą kochał, patrzył na nią co dzień, czytał w jej oczach uczucie, którego był pewien, marzył o przyszłości uśmiechającej mu się, jak z za gór uśmiecha się złocista jutrzienka dnia pięknego. A ciche rozkoszne rozmowy wieczorne, a powitania u okna, a szepty w pokoju matki, a kwiatki, które mu ona przynosiła, które on pielęgnował... o! i te tysiączne drobnostki, które z daleka tak są śmieszne, a z bliska tak dla serca święte!

Dnia tego, o którym mowa, było już pod wieczór, pani Żacka leżała w pół przechylona na kanapie w swoim pokoju, na krześle przy niej siedziała z pończoszką w rękę pani Wilczek. U komina, po cichu rozmawiał Bolesław z Justysią, ręce ich się spotkały niepojętym sposobem, a twarzyczka dziewczynki rumieńcem oblała... i mówić przestali.

Ale za nich mówiły matki, bo oko wdowy dostrzegło ich ruchów, i czytało na ustach niewymówione nawet słowa.

— Moja droga przyjaciółko — mówiła wdowa z westchnieniem — mnie tak tu teraz z wami dobrze w Zaborzu, tak miło, tak dosyć, że nikogo więcej nie pragnę; a jak pomyślę, że odjedziecie, to mi łyzy w oczach stają.

— Dzięki ci pani za to dobre słowo... o! wierz, że i nam pod twoim gościnnym dachem chwila boleści nawet osłodła. Wyniesiem ztąd dla ciebie wdzięczność na zawsze i przyjaźń szczerą, jeśli pozwolisz...

— A! moja droga, — porywając się odpowiedziała Żacka — wdzięczność nie dla mnie, ale odemnie wam się należy; przyjaźń przyjmijcie i zachowajcie; nie znajdziecie pewnie drugiej nad moją gorętszej i stalszej!

Obie się uściśnięły, a wdowa westchnęła, chciała widocznie coś począć i nie śmiała; nareszcie, jakby zebrawszy sobie siły, odezwała się do towarzyszki:

— Kiedy wy nic nie mówicie, to mnie samej trzeba i należy począć coś o naszych dzieciach. Droga pani... Bolek twój, jak wiesz zapewne, bo taki syn z niczem się nie tai przed matką, oświadczał mi się o Justysię... Jeszcze go wówczas tak dalece nie znała, alem ceniła zawsze; odkładając tylko, odpowiedziałam panu Derewiąskiemu. Dziś, gdy taką winnam mu wdzięczność i nauczyłam się więcej jeszcze go cenić, moja droga pani, pozwolisz, że pierwsza...

Tu wdowie słów i odwagi zabrakło; przyjaciółka ściskając jej rękę rzuciła się ku niej.

— Dzięki ci pani, dzięki za mnie, za Bolka, za ufność i dobroć twoją; uszczęśliwiasz dwoje ludzi, więcej, bo i mnie z nimi...

— A o mnie zapominasz? — żywo a czule odezwała się pani Żacka. — Mówmy szczerze, najotwarciej; ja winnam wam wiele, ale czuję się winną podwójnie, bom was nie umiała poznać, ciebie pani i syna twójego... powiem ci szczerze, wahałam się. Bolek zdawał mi się marzycielem i poetą...

— Któryż zakochany nie jest nim choć trochę?

— Tak, ale ty wiesz pani, jak w życiu praca potrzebna, a jak poeci jej nie lubią; drżałam o Justysię...

— Bolek — odpowiedziała pani Wilczek — nad wszystko wyżej stawia obowiązki swoje; a ich dopełnienie jest dla niego także poezją, a poezją żywota, poezją czynu. Nie obawiaj się pani, o! syn to pocziwy, potrafi być dobrym mężem; ale gdyśmy do wyznań przyszły i ja się wypowiadać ci mnszę. Wszak i ja winną też

byłam, i jam memu Bolkowi odradzała to staranie.

— Ty, pani moja?

— O! tak jest!

— Z jakiegoż powodu?

— Łatwo go pojmiesz, obawiałam się dla niego żony bogatszej; chciałam przez dumę ubogiej jak on, bodaj uboższej od niego.

Te wyrazy wymówione były z taką godnością, z takim wyrazem powagi, że pani Żacka uszanować musiała pocziwe matki uczucie i skłoniła głowę.

— W żaden sposób nie czujemy się wyżsi — odpowiedziała — twój syn ma duszę i serce, które go stawia na równi z każdym, a i ta trocha grosza, ten ziemi kawałek, który mu przyniesie Justysia, małą są pomocą dla jego przyszłości. Zapomnijmy obie o przeszłym.

— Bolku, chodź tutaj! — zawołała matka do syna.

— A! na Boga, niechże się nie schyla z tą ręką! — przerwała Żacka widząc, że na kilka słów, które mu szepnęła matka, Bolek chciał się jej rzucić do nóg; Justysia na widok tej sceny, do której w tej chwili najmniej przygotowana była, pobladła.

Matka przywołała ją także, ale się zbliżyć nie mogła; pani Wilczek pobiegła do niej i chwytając ją w objęcie, w milczeniu, długim uściskiem pobłogosławiła przyszłą synowę.

— A teraz dzieci moje — odezwiała się pani Żacka — jeśli to Bolkowi nie zaszkodzi, przejdźcie powoli, ostrożnie, do starego Stanisława, ukleknijcie przy łóżku starca, wzywajcie z naszym i jego błogosławieństwa. Poczciwsza ręka nad jego dłoń osłabłą nigdy was nie przelegna, życzliwszego nie usłyszycie głosu... chodźmy

wszyscy, chodźmy do niego, podzielmy się z nim naszym szczęściem.

To mówiąc, choć niezbyt silna, podniosła się z kanapy pani Żacka, podniecona uczuciem, i Bolek troskliwie okryty przez matkę, podtrzymywany przez nią, zdrów swoim szczęściem, poszedł razem z niemi. Justysia zapłonioma, to na niego to na matkę z rzewnym poglądała wyrazem.

I wśród drogi pochwyciła jej rękę niepostrzeżona... przycisnęła do ust, potem do serca... było to podziękowanie; zrozumiała je wdowa i zapłakała wzruszona.

Zapukali do drzwi izdebki.

— Któż tam? to pewnie moja panienka? — rzekł Stanisław podnosząc się na łokciu — o proszę, proszę! — Zdziwił się, gdy za otwarciem drzwi wtoczyli się do niego wszyscy, których tylko pojedynczo zwykle widywał... Po twarzach wyczytał, że nie darmo przyszli.

— Mój drogi Stanisławie — odezwała się Żacka — przyjacielu ojca i matki, wybawco dziecka mego, pobłogosław ze mną... pobłogosław im obojgu.

Jaka radość błysła na schorzałym licu starego sługi, nie potrafię wam odmalować... łyzy gorące, łyzy szczęścia puściły mu się z oczów, oddech zatamował na chwilę.

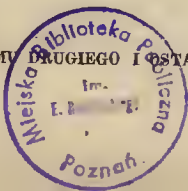
— Błogosławie, błogosławie — rzekł przerywanym głosem... o! z duszy... jakby ich błogosławił ojciec... ojciec rodzony... i widzę i czuję, że będą szczęśliwi.

To mówiąc, podniósł ręce z uśmiechem uszczęśliwienia i spokoju, szepcząc jakąś modlitwę nad głowami kłęczących...

I na błogosławieństwo niech spadnie zasłona...

Marzec 1851. Hubin.

KONIEC TOMU DRUGIEGO I OSTATNIEGO.



Biblioteka Raczyńskich

JK 1426



JK1426